

2-3 '89

Podlaski
Kwartalnik
Kulturalny

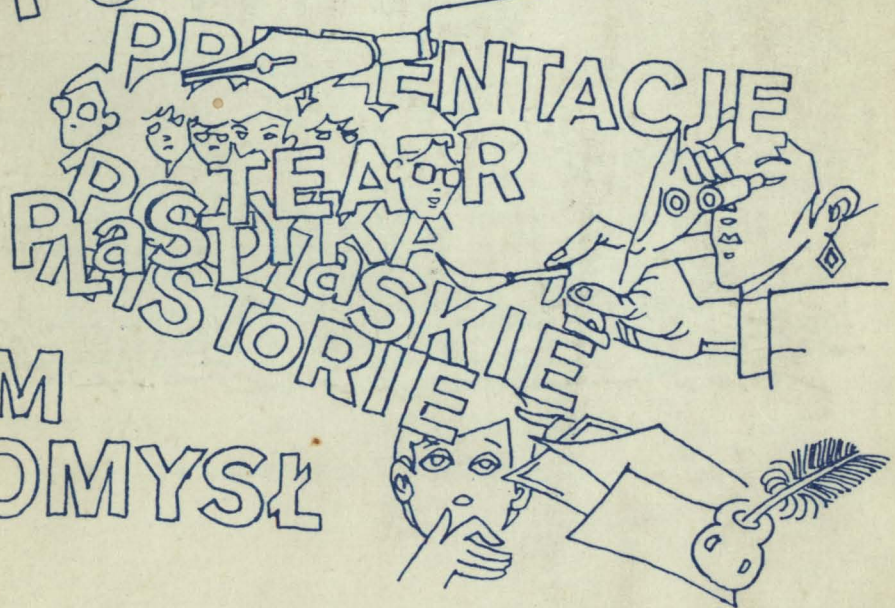
PUBLICYSTYKA

PREZENTACJE

PROSTEAKR

PLASTYKA
HISTORIE

M
OMYŚL



BIAŁA
PODLAŚKA

Widok od strony ulicy
Zamkowej na ulicę Naru-
towicza i kościół p.w.
Św. Antoniego...



P. Benkowsky
1907

PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

SPIS TREŚCI

	str
- H. Kuś „Fotografia – podkaszana muza XX wieku?”	3
- „Janów Podlaski – analiza rozwoju przestrzennego”	9

PUBLICYSTYKA

- Fr. Zańko „Zé wspomnień POW-iaka”	16
- J. Karwacki „Byłem tam”	18
- M. Nekanda-Trepka „Historia Biblioteki Akademii Białskiej”	25

FOLKLOR

- A. A. Radzikowska „Muzyka ciągle jeszcze we mnie siedzi”	32
- D. Bołtowicz „Dzieci Podlasia tańczą pięć lat”	35
- D. Bołtowicz „Wierni tradycji”	40
- A. Mironiuk „Dzień, w którym słońce tańczy”	42
- W. Szudejko „Wierzenia, obrzędy, obyczaje...”	45

PREZENTACJE

- Zb. Józwiak „Kazimierz Nekanda-Trepka – dwie pasje życia”	48
- T. Księżka-Falger „Karol Lipiński – artysta i jego dzieło”	55

PLASTYKA

- S. Żyłka „Upowszechnianie plastyki w GOK Ulan” 58
- A. Szczerbicki – malarstwo 61

MAM POMYSŁ

- M. H. Balińska, Monodram „Okno” 65
- S. Żyłka, scenariusz „Lokomotywa” 68
- S. Żyłka, scenariusz „Ziemniak odsmażany” 70

KRONIKA

- Plastyczne prezentacje 71
- Na swojską nutę 72
- Literackie spotkania 73
- Podlaskie regionalia 73
- Czterdzieści lat szkoły muzycznej 74
- Na wesoło i poważnie 74
- Poezje S. Żylki i H. Romaszewskiej 75, 76

**WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA**
Dział Informacji Bibliografii
i Wiedzy o Regionie
21-500 Biała Podlaska
ul. Warszawska 12a, tel. 43-61-11

FOTOGRAFIA – PODKASANA MUZA XX WIEKU?

Myśląc o fotografii ciągle ulegam wrażeniu, iż funkcjonuje ona w świadomości społecznej jako niższy gatunek sztuki, rzadko kojarzony z ważnymi przemianami, które się w tejże świadomości zbiorowej za przyczyną fotografii dokonały. Najczęściej dochodząca i najbardziej namacalna funkcja fotografii jako „magazynu pamięci” – przetrwania wizerunków indywidualnych i zbiorowych jest jednocześnie funkcją najbardziej cenioną. Powoduje ona, że traktuje się fotografię jako wierny przekaz rzeczywistości mając na uwadze jej zdolności mimetyczne, szczególnie dobrze służące do celów przekazu prasowego bądź dokumentacyjnego. Brak uznania fotografii jako odrębnego dzieła sztuki wiąże się właściwie jedynie z mechaniczno-technologicznym sposobem otrzymywania jej wytworów i pomija całą warstwę wysiłku osobistego fotografa jak i odrębność tworzonych w jej ramach stylizyk. John Szarkowski ukuł pewne powiedzenie, które w sposób wyjątkowo zręczny definiuje to co specyficzne dla fotografii, przynajmniej w tych jej tendencjach, które polegają na wyodrębnieniu wizerunków rzeczywistości poprzez obiektyw aparatu fotograficznego, mówiąc że jest ona sztuką wskazywania – the art of pointing. Definicja ta nie zamyka w sobie jednak tych postaw artystycznych, które traktują fotografię jedynie jako medium do artykulacji własnych przemyśleń intelektualnych, przecząc funkcji fotografii w sposób oczywisty jako środka rejestracji mechanicznej. Kłopot zatem z fotografią pojawia się nie wtedy gdy odtwarza ona wyglądy realnego świata, ale wtedy gdy stanowi ona przedmiot operacji świadomego artysty, traktującego materiał fotograficzny jedynie jako środek wypowiedzi artystycznej, wskazujący bardziej na jego osobiste aspiracje i poszukiwania, niżli na kształt otoczenia i działającego w nim fotografa.

Fotografia jest jednocześnie polem walki różnych stylizyk i konwencji estetycznych, o tyle trudniejszych do odcyfrowania od malarstwa, o ile użyty przecież przez fotografa materiał jest materiałem jednorodnym, papier fotograficzny jako kartka papieru pokryta emulsją światłoczułą jest w każdym przypadku taka sama i dopiero to co zostanie na niej naświetlone decyduje o jej odmienności. Obraz malarza od początku poprzez tradycję szkoły jest już mocno osadzony w konwencji stylizacyjnej. Dlatego odbitka fotograficzna wymaga od odbiorcy nie tyle wrażliwości estetycznej, co nadwrażliwości, uczulenia na konwencje i stylizykę fotografii oraz urok warstwy technologicznej często nie dostrzegany, bądź umykający uwadze. Najwyżej osobiście cenione odbitki zaświadczające o szlachetnej aksamitności, rozciągnięte łagodnie między czernią i bielą, zindywidualizowane

w stosunku do obrazowanego na fotografii wyglądu.

Fotografii przypisano kulturowo funkcję werystyczną; prawda fotografii jest prawdą niepodważalną i niekwestionowaną, fotografia jednak kłamie i to kłamie w każdym momencie procesu jej powstawania. Prawda fotografii jest przede wszystkim prawdą fotografa, a także prawdą obiektywu, prawdą materiału negatywowego, prawdą papieru służącego do wykonania odbitki – i w końcu prawdą postrzegającego zdjęcie, również i ta przecież prawda jest warunkowana zarówno czynnikami fizjologicznymi – prawdą postrzegającego wzroku, jak i prawdą kulturowego treningu odbioru.

Tyle prawd, a jedna fotografia.

Problem ten jednak dobitnie zaświadcza o odrębności wysiłku fotografa. Fotografia jest zatem wysiłkiem indywidualnym, a nie jedynie mechanicznym przekształceniem rzeczywistości dokonany przez bezmyślną kamerę.

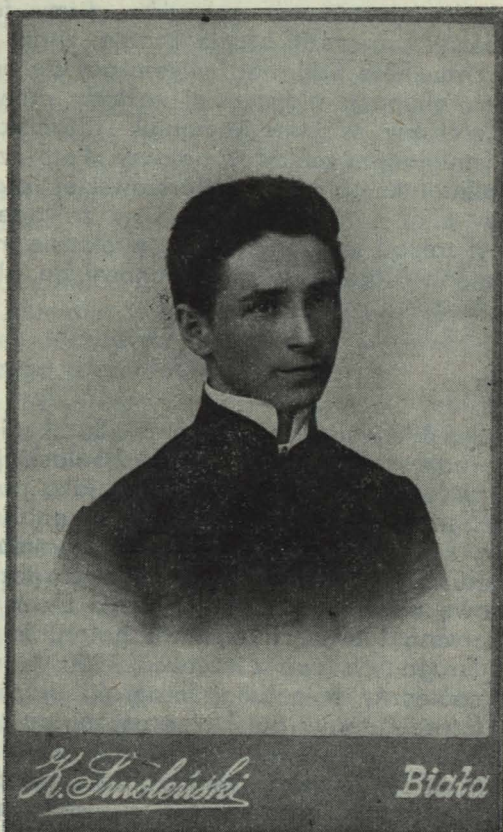
W książce „O fotografii” Susan Sontag stwierdza, iż jedynie kokieterią fotografów jest jeszcze ciągle upominanie się o obecność w prestiżowych „sanktuariach sztuki” jakimi są muzea. Prawda ta być może satysfakcjonującą fotografów amerykańskich i zachodnioeuropejskich, ciągle nie jest faktem w stosunku do fotografii polskiej. Fotografia w Polsce znajduje się w stadium operetki – a więc muzy podkasanej, a nie pełnią barw i dostojęstwa opery uznanej przez najlepsze towarzystwo i występującej w najlepszym towarzystwie muzycznych – malarstwa, rzeźby czy grafiki. Okres ten jest jednak chyba okresem przejściowym, gdyż jeszcze bardziej ulotne media jak np. video stają się wątpliwą wartością kolekcjonerską, a fotografia nabierze cech godności sztuki trwałej i uznanej ze względu na zmierzchowy i zanikowy charakter.

z historii fotografii na Podlasiu

Tak jak i w innych rejonach kraju, zanim narodziła się fotografia amatorska istniała głównie fotografia zakładowa. Należy jednak stwierdzić, iż zarówno poziom przynajmniej najlepszych zakładów, jak i sposób pracy fotografów końca XIX wieku oraz w okresie późniejszym był zupełnie inny aniżeli działalność prowadzona przez zakłady rzemieślnicze obecnie. Fotografowie Ci bowiem często, poza fotografią portretową prowadzoną na terenie samego zakładu, wychodzili na miasto, wykonując zdjęcia jego mieszkańców oraz zabudowy miasta co pozwoliło w niektórych przypadkach jak np. Warszawy na zgromadzenie dużego zbioru wyglądu zabudowy miejskiej, z tego okresu, pomocnej później, szczególnie w przypadku Warszawy przy odbudowie po zniszczeniach wojennych.

Niewątpliwie pierwszym zakładem fotograficznym Podlasia był zakład Karola Smoleńskiego założony w roku 1895 w Mię-

dzyrzeczu Podlaskim. W tym mieście powstało zresztą najwięcej zakładów, poza zakładem Karola Smoleńskiego przeniesionym w roku 1908 do Białej Podlaskiej, powstaje tu w roku 1906 zakład „Krantz” zaś około roku 1917 powstał tu istniejący do roku 1943 zakład Ch. Kronkarca, ważny dla historii fotografii zakładowej Międzyrzecza ze względu na fakt wykształcenia wielu fotografów, w tym również St. Milewskiego fotografa działającego do chwili obecnej. W okresie międzywojnia w Międzyrzeczu Podlaskim działało około dziesięciu zakładów, niektóre z nich jak np. Foto-Tykocki istniały krótko, niektóre jak założony przez St. Milewskiego w roku 1943 istnieją do dziś.



Początki fotografii w Białej Podlaskiej wyznacza przeniesienie przez Smoleńskiego zakładu z Międzyrzecza Podlaskiego do Białej Podlaskiej. Prowadził on zakład początkowo przy ulicy Warszawskiej a następnie przy ulicy Krzywej (obecna Gabriela Narutowicza) zmarł w roku 1949, po jego śmierci

ci zakład prowadziła żona Janina, która w roku 1980 przekazała około 3000 negatywów szklanych do zbiorów Muzeum Okręgowego w Białej Podlaskiej. Muzeum to już w roku 1982 udostępniło część tej kolekcji w postaci wystawy pt. „Zatrzymane w kadrze” urządzanej w lokalu Miejskiego Domu Kultury.

Współcześnie z zakładem Smoleńskiego działał w Białej Podlaskiej zakład L. Twardowskiego – obie te firmy wytwarzały fotografie typu carte de visite.

Innym bialskim zakładem była firma Józefa Weraksa (vel Weraksy) prowadził on zakład w latach 1926-1939, a także w okresie okupacji niemieckiej. Po roku 1944 przez pewien czas był on prowadzony przez jego córkę. Oprócz tych dwóch najbardziej znanych i cenionych zakładów, firmy fotograficzne w Białej Podlaskiej prowadzili bracia Brattig, znany był również zakład pod nazwą „Foto Szklawer” mieszczący się przy ul. Brzeskiej. W latach okupacji niemieckiej zakłady prowadzili Józef Brattig, Józef Weraksy, Waclaw Romaniuk i Stanisław Cybulski. Po wojnie do istniejących zakładów dołączy „Foto-Zorza” – Zbigniewa Sewastianiuka przy ul. Warszawskiej oraz Mariana Chwesiuka przy ulicy 1 Maja¹. Najstarszym zakładem Radzyna Podlaskiego był zakład założony jeszcze w okresie międzywojennym przez Romana Marona, później stanowił on własność Mariana Radkowskiego².

nowe działania

W maju roku 1980 pierwszą wystawą „Spotkania” Andrzeja Brzezińskiego rozpoczęła pracę w Białej Podlaskiej galeria fs-galeria, która w swoim programie przyjęła jako postulat pracę w obszarze fotografii socjologicznej. Biuro organizacyjne galerii mieściło się w Zarządzie Miejskim ZSMP, któremu przewodniczył wtedy Janusz Dziedzic. Pomieszczenia ekspozycyjnego na pierwszą wystawę udzielił wtedy Wojewódzki Dom Kultury i tak odbyła się pierwsza i ostatnia wystawa galerii fs, która miała tam miejsce. Druga wystawa z czerwca 1980 Joanny Paszkiewicz „Pejzaż społeczny w polskiej fotografii prasowej” oparta o dokonania fotoreporterów polskiej prasy początku lat osiemdziesiątych miała znacznie bogatszą historię. W dniu jej otwarcia dowiedzieliśmy się bowiem, że nie może zostać ona zaprezentowana w uprzednio uzgodnionym miejscu, czyli lokalnym WDK, ze względu na urządzoną w nim wystawę makatek i robotek ręcznych, ekspozycja ta odbyła się więc w klubie studenckim „Meta” przy Filii AWF w Białej Podlaskiej. Ten nagły brak pomieszczenia, był oczywistym sygnałem, że wystawa Brzezińskiego nie spotkała się z aplauzem tzw. czynników. Dla mnie osobiście było to wynikiem nieporozumienia związanego z traktowaniem instrumentalnym sztuki przez obowiązującą wtedy wykładnię polityki kulturalnej. Było to zderzenie wyprofilowanej

kultury oficjalnej w wydaniu dużego oddalenia od Warszawy i osobistego stosunku do materiału prezentowanego przez artystę. W wystawie „Spotkania” oraz „Pejzaż społeczny w polskiej fotografii prasowej” opartej o zdjęcia, które wielokrotnie były publikowane w prasie tygodniowej nie było nic obrazoburczego, a jednak wystawy te spotkały się z przyjęciem wyjątkowo nieprzychylnym. Sierpień 1980 roku stworzył poważniejsze problemy i galeria przestała być ośrodkiem ekscytacji władz kulturalnych jakkolwiek pojętych. Spowodował również, że znalazła ona swoje stałe miejsce w nowo otwartym wtedy klubie MPiK. Tam też odbyły się kolejne wystawy Witolda Dederki, Krystyny Petryk, Mariusza Hermanowicza, Włodzimierza Ochnio, Stefana Figlarowicza, poplenerowa Biała Podlaska teraz 1981, Jerzego Łapińskiego, Andrzeja Brzezińskiego – „Twarze” Janusza Leśniaka. Nie odbyły się mimo zapowiedzi wystawy Stanisława Fitaka, Stefana Wojneckiego, Jerzego Grzegorkiewicza. W roku 1984 galeria przestała właściwie istnieć, zasadniczym tego powodem był zarówno moment moich dociekań teoretycznych, który wskazywał na bezpłodność i nonsensowość używania pojęcia fotografia socjologiczna, które w toku kilkuletniej pracy nad prowadzeniem galerii właściwie okazało się pojęciem mało przydatnym dla definiowania pojęć dotyczących się wartości estetycznych fotografii, a okazało się pojęciem z kręgu publicystyki o fotografii. Zmiana na stanowisku dyrektora KMPiK spowodowała również odczuwany przeze mnie brak sensownej motywacji do dalszego prowadzenia działalności.

Ważnym wkładem w rozwój myśli teoretycznej były zorganizowane przez galerię trzy seminaria dyskusyjne „Samoświadomość fotografii” z września 1981, „Aksjologia fotografii” czerwiec 1982 oraz „Autonomia fotografii w obszarze sztuki” wrzesień 1983. W seminariach tych uczestniczyli zarówno krytycy jak i artyści: Andrzej Brzeziński, Stefan Figlarowicz, Janusz iFla, Henryk Kuś, Joanna Paszkiewicz, Jerzy Busza, Sławomir Magala, Stefan Wojnecki, Jerzy Grzegorkiewicz, Jerzy Lewczyński, Adam Sobota, Lech Lechnowicz. Trudno byłoby wyliczać obszar zagadnień podejmowanych podczas tych seminariów. Fakt iż były one ważne dla polskiej fotografii dobitnie zauważył Krzysztof Jurecki opracowując kalendarium wydarzeń w polskiej fotografii lat 80-tych pomieszczony w katalogu wystawy Polska fotografia intermedialna (BWA Poznań 1988). Dokonany latem 1980 roku mariaż galerii fs z klubem MPiK zaowocował powstaniem oryginalnego w dziejach szkolnictwa fotograficznego w Polsce Studium Fotografii Artystycznej i Technicznej. W zajęciach prowadzonych przez rok uczestniczyło i pozytywnie ukończyło Studium 21 osób, głównie zamieszkałych w Białej Podlaskiej i okolicach. Wykładowcami Studium byli dr B. Kowalska, mgr J. Paszkiewicz, mgr H. Kuś oraz artyści fotograficy: A. Garlicka, A. Brzeziński, St. Fitak, A. Jałosiński oraz J. Grzegorkiewicz. Poziom Studium wyznaczała konieczność napisania pracy teore-

tycznej pod kierunkiem poszczególnych wykładowców oraz wykonanie prac praktycznych. Studium okazało się ważną inicjatywą dla integracji lokalnego środowiska fotoamatorskiego co pozwoliło na złożenie wniosku w Urzędzie Wojewódzkim w sprawie założenia lokalnego Bialskiego Towarzystwa Fotograficznego. Towarzystwo to rozpoczęło pracę w roku 1983. Zaczynając nową kartę w historii ruchu fotoamatorskiego na Podlasiu. Oczywiście zostałem jego pierwszym prezesem i prowadziłem prace Towarzystwa przez jedną kadencję. W latach następnych Towarzystwu prezesował A. Trochimiuk, obecnie zarządem kieruje T. Łukaszuk. Powstanie Bialskiego Towarzystwa Fotograficznego i jego praca, głównie realizowana poprzez organizację wystaw indywidualnych, a także uruchomienie przez M. Brzozowską na stałe witryny w Domu Handlowym „Sawko” w której odbywają się już od roku 1987 wystawy poszczególnych fotoamatorów, do tej pory swoje prace w witrynie domu „Sawko” prezentowali: J. Grad, W. Pakuła, A. Stępka, T. Zaczek, P. Chmielowski, A. Jędrzykowski, H. Oleszczuk, J. Rydel. Trudno byłoby wyliczyć wszystkie wystawy organizowane przez członków towarzystwa, poza tymi organizowanymi w witrynie „Sawka”, wiem jednak, iż dwukrotnie w klubie MPiK pokazywał swoją fotografię A. Trochimiuk, wystawy organizowali również T. Łukaszuk i A. Staniszewski (Szpital – 1987) oraz A. Stępka (Mur 1988). W tym czasie odbywały się również spotkania towarzyskie oraz dwie wystawy w Klubie Kultury „Piast” moja „Fascynacja fotografią” listopad 1987 i pierwsza wystawa fotografa zachodnioeuropejskiego Fritza Galuschki w maju 1988. Nie udało się jednak, jak do tej pory, nikomu z członków BTF wstąpić do Związku Polskich Artystów Fotografików, mimo, iż wielu z nich wstąpiło na drogę zawodową zdając egzamin w zakresie rzemieślniczym.

Galeria fs posiada bogatą dokumentację prasową, wielokrotnie stanowiła przedmiot artykułów publikowanych zarówno w prasie lokalnej: „Słowo Podlasia” i „Sztandar Ludu” jak i prasie ogólnopolskiej takiej jak „Fotografia”, „Foto”, „Walka Młodych”, „Kamena”, „Kontrasty” wpisała się również na trwałe w świadomość i dorobek fotografii polskiej. Ja sam zaś, po okresie prowadzenia działalności organizatorskiej i programowej zająłem się publicystyką na temat fotografii prowadzoną głównie na łamach tygodników warszawskich w tym szczególnie „Kierunków” oraz dziennika „Słowo Powszechne”, uczestniczyłem również przez dwa sezony 1986 i 1987 w pracach rady galerii Hybrydy w Warszawie.

Henryk Kuś

1. Informacje na temat zakładów fotograficznych w Białej Podlaskiej uzyskałem od red. J. Sroki.
2. Por. również M. Kowalski, Zakłady fotograficzne w Międzyrzecu Podlaskim 1895-1975, Rocznik Międzyrzecki t. VII 1975.

JANÓW PODLASKI analiza rozwoju przestrzennego

Miasto Janów Podlaski położone jest malowniczo wśród nadbużańskich łąk i pól środkowego Podlasia, na północ od Białej Podlaskiej – stolicy obecnego województwa białkopodlaskiego. Powstało na miejscu wcześniejszej wsi o nazwie Porchowo, która wraz z innymi dobrami z powiatów łuckiego, włodzimierskiego, brzeskiego i drohickiego nadana została przez Witolda, wielkiego księcia litewskiego katedrze łuckiej. 15 sierpnia 1428 roku książę Witold wydaje akt fundacyjny kościoła p.w. św. Trójcy, który wkrótce wzniesiono, zapewne w miejscu dzisiejszego – pod tym samym wezwaniem. Istotny zwrot w dziejach Janowa nastąpił w roku 1465. Ówczesny biskup łucki Jan Łosowicz, przenosząc się na stałe do wsi Porchowo ze zniszczonego (przez Tatarów Łucka, ustanawia akt lokacyjny podnoszący osadę do rangi miasta i nadaje mu – od swojego imienia – nazwę Janów. Przywilej lokacyjny na prawie chełmińskim stwarzał dogodne warunki do podjęcia wzmoczonego ruchu budowlanego. Mieszkańcy miasta zwolnieni zostali z opłat na okres 20 lat. Mogli wznosić „wszelkie budynki drewniane” w granicach miasta, posiadali też prawo do swobodnej sprzedaży lub wymiany domów, sklepów, ogrodów i wszelkich budynków. Wkrótce po lokacji miasta biskup Łosowicz wystawia murowany kościół p.w. św. Jana Chrzciciela, do którego przenosi parafię z kościoła św. Trójcy. Budowla zlokalizowana została najprawdopodobniej we wschodniej pierzei rynku, w miejscu późniejszego kościoła pod tym samym wezwaniem. Brak przekazów źródłowych nie pozwala na próbę opisu miasta z okresu jego lokacji, wiadomo tylko, że istnieją już dwa kościoły, z których przynajmniej jeden, późniejszy, jest murowany. Pozostałą substancję miasta wypełniała zapewne zabudowa drewniana, o rozlokowaniu której nic nie wiadomo. Można jedynie przypuszczać – na podstawie usytuowania kościołów w obrębie dzisiejszego rynku, że pierwotne rozplanowanie miasta w zasadniczych zarysach mogło odpowiadać stanowi obecnemu. Tezę taką zda się popierać miejscowa, wykształcona w ciągu wieków tradycja polegająca na przeprowadzeniu kolejnych odbudów obiektów na tych samych miejscach. Przemawiają za tym także tak istotne czynniki układu przestrzennego miasta jak ukształtowanie terenu, sieć dawnych traktów i system wodny wyznaczony przez rozlewisko rzeczki Krzywuli.

Ogłędziny miasta i analiza zachowanych najstarszych planów pozwalają stwierdzić, że Janów powstał w miejscu starannie wybranym i chyba jedynym wśród całej okolicy. Pagórkowaty, pofalowany teren, przecięty biegiem rzeczki Krzywuli, w miejscu miasta tworzy rodzaj odwróconej miski zajmując centralną część miasta z rynkiem głównym. Obrzeża Janowa od południa, zachodu i północy zbiegają w doliny rzek Krzywuli i dzisiejszej Czyżówki. Po stronie wschodniej otwiera się szeroka i gładka płaszczyna nadbużańskich łąk. Wydaje się, że tak ukształtowany teren w dużej mierze mógł zadecydować o planie, a także i sylwecie miasta. Znakomita ekspozycja architektury, duże nasłonecznienie, dostępność części centralnej nasuwały w sposób naturalny rozwiązania przestrzenne w procesie budowy planu miasta.

Drugim istotnym komponentem decydującym o rozlokowaniu miasta była istniejąca sieć traktów. Miasto przecinały dwa ważne szlaki komunikacyjne: północno-południowy z przeprawą przez Bug (dawny trakt brzesko-łosicki) z przedłużeniem do Białej Podlaskiej oraz nowszy trakt brzeski biegnący ze wschodu na zachód i łączący Brześć z Siedlcami. Akt lokacyjny Janowa wśród ulg i przywilejów nakładał na mieszkańców miasta obowiązek napraw uszkodzonych grobli. Wskazuje to na istnienie w owym czasie mniej lub bardziej rozbudowanego systemu wodnego posiadającego zapewne znaczenie głównie gospodarcze. Jednakże kapryśny bieg Krzywuli powiązany z innymi działaniami wodnymi stanowił niewątpliwie ważny element determinujący rozplanowanie miasta od strony zachodniej i północnej.

Zapewne wkrótce po lokacji miasta wzniesiona zostaje rezydencja biskupów łuckich. Dokładna data powstania jak i lokalizacja siedziby nie są



Mapa kwatermistrzowska WP, 1839 r., fragment z Konstantynowem i Janowem Podlaskim.

znane. Zdaniem ks. J. Pruszkowskiego siedzibę ową stanowił zamek składający się z „arx superior” i „arx inferior”. Zamek górny zbudowany był na usypanej wyniosłości, otoczony szerokim kanałem, w czworobok, z wystającymi na rogach basztami, za fosą przylegały do zamku ogrody warzywne oraz zabudowania folwarczne, stawy rybne z młynem i foluszem. Zamek ten Pruszkowski sytuuje w miejscu późniejszej rezydencji biskupów. Dolny zamek wg wiadomości Pruszkowskiego znajdował się na północny wschód od miasta, przy starym gościńcu brzesko-łosickim. W obrębie zamku znajdował się kościół św. Stanisława wzniesiony przez biskupa łuckiego Stanisława Stawskiego (+1488) i który to kościół stanowił tzw. „probostwo zamkowe”, do którego uposażenia należały pola, łąki i ogrody położone we wsi Pawłów, gdzie

znajdowały się też mieszkania służby i zabudowania gospodarcze. J. Kubiak przytaczając opisy ks. Pruszkowskiego lokalizuje zamek dolny w rejonie dzisiejszej Wygody. K. Gerłowska w rozdziale dotyczącym historii miasta sytuuje go w granicach dzisiejszego Janowa, w kwartale wyznaczonym przez obecne ulice: Narutowicza, Sienkiewicza, Skalskiego i Dolną. Przytoczone powyżej hipotezy, wobec braku przekazów źródłowych, nie wyczerpują definitywnie kwestii lokalizacji zamku dolnego – spalonego w czasie wojen szwedzkich. Wraz z powstaniem rezydencji program użytkowy miasta zostaje wypełniony. Janów staje się faktyczną stolicą diecezji biskupów łuckich.

Późniejsze liczne przywileje nadawane miastu i jego mieszkańcom powodują, że Janów osiąga w wieku XVI największy bodaj swój rozkwit. Miasto liczy ok. 5000 mieszkańców i ok. 500 domów. Oprócz wspomnianych już trzech kościołów – przy kościele św. Trójcy (odbudowanego po pożarze) istnieje wzniesiona w 1526 r. osobna kaplica. Miasto posiada też bożnicę, cerkiew (fundowana w 1565 r.), a wg J. Pruszkowskiego również szpital, szkołę elementarną oraz ratusz – sytuowany przez badacza w pierzei południowej rynku. W mieście miały działać cechy: kuśnierski, stolarski, rzeźnicki i zduński. Rozwijające się dynamicznie miasto pustoszone było częstymi pożarami: 1570, 1571, 1572, 1573, 1597, groźny pożar w r. 1620 zniszczył 160 domów. Następnie, rujnujące zniszczenia przynosi najazd Szwedów w r. 1657. Spłonął wówczas zamek, zniszczeniu i grabieży uległy janowskie kościoły i najprawdopodobniej znaczna część miasta. Wydaje się, że datą najazdu szwedzkiego można zamknąć okres powstania, rozwoju i rozkwitu miasta. Z najwcześniejszych budowli do dnia dzisiejszego nie zachowała się żadna. I gdyby szukać śladów przeszłości – największe prawdopodobieństwo ich znalezienia tkwi zapewne w planie miasta: być może nie w wytrasowaniu poszczególnych ulic, często przekształcanych w latach następnych, ale w zasadniczym zrębie czy też dyspozycji urbanistyczno-przestrzennej Janowa.

Centralne usytuowanie rynku, podkreślenie ważności jego roli przez nagromadzone tu dominanty architektoniczne, nanizanie nowszego traktu brzeskiego na podłużną oś miasta, stworzenie układu przestrzennego rezydencja - miasto – wszystko to zapewne prezentuje wartości wczesnego rozplanowania Janowa. Koniec XVII wieku przynosi jedyną, dość istotną zmianę w wyglądzie miasta. Wkrótce po najeździe Szwedów przystąpiono do odbudowy zamku. Na miejscu dzisiejszego zespołu pałacowego wzniesiono dwór obronny, częściowo murowany, w większej części drewniany, lepiony gliną, parterowy, na planie prostokąta, dwutraktowy, z dwoma narożnymi alkierzami i piętrowym gankiem na osi, do którego przylegały dwie drewniane baszty. Zamek otoczony został fortyfikacjami ziemnymi oraz fosą. Na płd. od zamku znajdował się ogród włoski, a dalej sad, ogród warzywny i zwierzyńiec. Trundo dziś czrzec, czy zastosowanie w obiekcie jako głównego budulca drewna, bogate malowanie go w sposób imitujący wątek murowany, było zamierzeniem artystycznym, czy też wynikało z braku większych środków lub też pewnej tymczasowości przedsięwzięcia. W każdym razie zamek, użytkowany już przed 1685 rokiem stał się wkrótce siedzibą alumnów, seminarium utworzonego przez biskupa Stanisława Witwickiego.

W r. 1679 miasto otrzymuje z rąk biskupa Tomasza Leżeńskiego prawo magdeburskie wraz z przywilejem budowania przez mieszkańców browarów

i zakładania winnic.

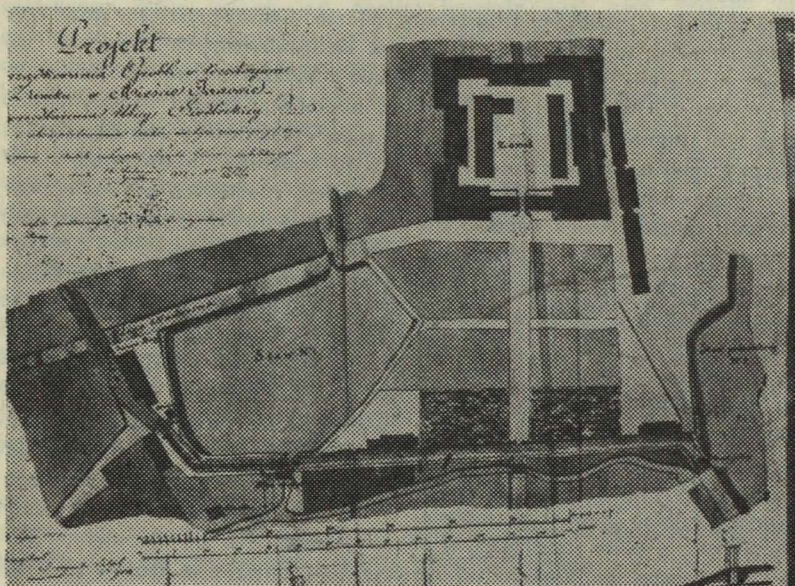
Zasadniczy zwrot w dziejach zabudowy miasta przynosi wiek XVIII. Wysoka aktywność budowlana kolejnych biskupów łuckich sprawia, że miasto ulega istotnym przekształceniom, zwłaszcza w zakresie swej bryły. Działalność ta odnosiła się jednak na szereg inwestycji wodnych i miejskich. Ponieważ wiele z tych budowli przetrwało, z niewielkimi zmianami, do dnia dzisiejszego, a ich monumentalność, siła wyrazu nie mają sobie równych w Janowie, one właśnie nadają miastu charakter i swoiste piękno. Wymienić tu należy przede wszystkim okazały zespół architektoniczny, powstały na miejscu dawnego kościoła św. Trójcy, w zachodniej pierzei rynku. W skład zespołu wchodzi barokowy kościół pod tym samym wezwaniem (1714-1741), przylegający doń od południa budynek seminarium (1745), od północy tzw. „domus emeritorium” (1757), dobudowane do kościoła „psauterium” (1770) oraz wolno stojąca dzwonnica (1745) z przylegającym do niej murem zamykającym ogród seminaryjny. Drugim elementem zmieniającym sylwetkę miasta od strony płn.-zach. stała się kolejna przebudowa rezydencji biskupiej przeprowadzona w latach 1770-1780. Dawny dwór obronny został częściowo rozebrany, na jego miejscu stanęły dwa pawilony pałacowe o delikatnym, rokokowym wystroju architektonicznym. Budowla wraz z przeprowadzoną modernizacją ogrodu włoskiego otrzymała charakter pałacowo-parkowy. Na terenie parku powstała drewniana oranżeria i budynek ogrodniczy a ok. 1790 roku pawilon ogrodowy zwany „grota Naruszewicza”. Niewątpliwie prace te doprowadziły do znacznego upiększenia miasta. Do tego doliczyć należy częściową realizację szeroko zakrojonych prac remontowych młynów, stawów i grobli (1786-1793) oraz budowę w mieście karczmy zajezdnej Praga i prawdopodobnie dwóch austerii, budowę szpitala czy wreszcie drewnianych kramów w rynku – inwestycji powstałych za sprawą biskupów Wołłowicza, Turskiego i Naruszewicza.

Obraz Janowa końca XVIII wieku należy uzupełnić funkcjonującą w mieście łaźnią, szpitalem kahalnym, murowaną bożnicą (1781). Stara cerkiew w tym czasie jest opuszczona. Prócz kolegiaty działa kościół, usytuowany przy cmentarzu powstały w roku 1770, na miejscu dawnego kościoła dominikanów (zrujnowanego wskutek zawalenia się murów) istnieje skromna kaplica w roku 1790 rozpoczyna się zresztą odbudowa tegoż kościoła, zakończona w r. 1801. Natomiast w r. 1797 rozebrany zostaje, z powodu złego stanu technicznego, kościół św. Stanisława. I wreszcie na terenie folwarku biskupiego działa pięć młynów (z których Koziół, Zaborny, Międzybrowarny i Podzamkowy pozostają w dzierżawie miasta) oraz jeden browar.

Mniej kompletne są wiadomości na temat podstawowego tworzywa miasta jakim są domy mieszkalne. W roku 1796 posiada ich Janów 180 zamieszkałych przez 1500 mieszkańców. Większość z nich trudni się głównie rolnictwem, handel miejski pozostaje w rękach Żydów, których liczba w stosunku do ogółu mieszkańców stale wzrasta. Prawdopodobnie nadal działają cechy rzemieślnicze: szewski, zduński, kuśnierski, stolarski i rzeźniczy.

W przeciwieństwie do miastotwórczego okresu XVIII wieku dzieje Janowa w następnych latach – aż do zakończenia I wojny światowej – charakteryzuje stagnacja, brak zasadniczych zmian w strukturze przestrzennej miasta. Na stan taki złożył się szereg przyczyn, spośród których najważniejszymi stały się liczne zmiany administracyjne, brak merytorycznego mecenatu –

spełnianego do tej pory przez biskupstwo – ubóstwo mieszkańców i ustawiczny brak materiałów budowlanych. Niemniej jednak okres ten wymaga szerszego omówienia, choćby z racji architektury drewnianej, której przykłady funkcjonują do dnia dzisiejszego oraz roli jaką odgrywa obecnie, powstała wówczas w pobliskiej Wygodzie, stadnina koni. Ta ostatnia sprawa może być zresztą traktowana jako nowa wartość funkcjonalno-przestrzenna organizmu miejskiego Janowa. W wyniku rozbiorów Polski miasto przechodzi początkowo do zaboru rosyjskiego a po roku 1795 w ręce administracji austriackiej, której próby intensyfikacji, na tym terenie, hodowli bydła i koni powodują powstanie stadniny janowskiej. Po roku 1805 miasto znajduje się w granicach Księstwa Warszawskiego, w 1815 Królestwa Kongresowego. Przejęcie dóbr janowskich w skład dóbr narodowych, urządzenie w roku 1817 stadniny państwowej oraz utworzenie w następnym roku diecezji podlaskiej z siedzibą w Janowie sprawiają, że następuje pewne ożywienie działalności w zakresie kształtowania przestrzennego miasta. W początkach lat trzydziestych podjęte



Janów Podlaski – zamek, projekt porządkowania grobli z 1852 r.

zostały starania w celu uporządkowania ulic Janowa, które do owego czasu, w całym mieście, pozbawione były bruków. Realizacja planów geometry Pawła Zawadzkiego z roku 1823 przebiegała jednakże słabiej, z dużymi perturbacjami i dotyczyła tylko niektórych ulic, bądź ich fragmentów. Ulice miasta obsadzone zostały drzewami, w latach 1825 i 1828 oraz 1849-50, 1853 trwają prace nad brukowaniem ul. Brzeskiej i Siedleckiej. Od roku 1854 do 1866 nastąpiło rozplanowanie i częściowa realizacja bruków rynku, placu targowego, ulicy Brzeskiej i Zabużnej. Wszystkie wymienione tu działania mające podówczas charakter kosmetyki mają jednakże swój udział w obecnym wyglądzie Janowa. Bardziej znaczącymi dla planu miasta stało się wytyczenie ul. Cerkiewnej (ob. 1-go Maja) i przede wszystkim nowego traktu

prowadzącego do stadniny koni w Wygodzie, a będącego przedłużeniem na wschód dawnej ulicy Zabużnej (ob. Wygodzka). W okresie późniejszym (1893) powstaje nowy odcinek ul. Białskiej łączący się z ul. Brzeską i wytyczona zostaje droga do Klonownicy. W wyglądzie rynku następuje dość istotna zmiana – część północna placu zostaje zadrzewiona.

Obok działań urbanistycznych wiek XIX przynosi stosunkowo wąsko zakrojone inwestycje o charakterze ogólnomiejskim. Do takich należałoby zaliczyć powstałe na początku wieku probostwo, dobudowę do domu „emeritorium” zachodniego skrzydła (1852 i 1878) dwuklasowej szkoły rosyjskiej na miejscu wypalonej cerkwi (1874) i innych, nie posiadających już znaczenia.

Oddzielnej uwagi wymaga budownictwo mieszkalne tego okresu. Podobnie jak w wiekach poprzednich zdecydowany trzon zabudowy tworzą obiekty drewniane. Zasobność miasta w budowlę murowaną wzrosła w ciągu całego stulecia w sposób minimalny i ograniczała się tylko do jego centrum. Natomiast budownictwo drewniane znajdowało się w pewnym ruchu, powodowanym częstokroć pożarami fragmentów miasta. Charakterystyczne przy tym, że stan liczebny tej substancji aż do lat siedemdziesiątych utrzymywał się niemal niezmiennie na tym samym poziomie i wynikał z trwałości podziałów własnościowych. Po 1870 roku aktywność budowlana uległa wzmożeniu, co jest o tyle istotne, że szereg budowli z tego czasu tworzy obecną, starszą zabudowę miasta. Reprezentuje ona sobą typ budynków drewnianych, z dachem szczytowym, ustawionym kalenicą do ulicy, zdobionych częstokroć wyycinanymi końcami belek stropowych. Niewątpliwie forma tego typu budowli nawiązywała do tradycji budownictwa wiejskiego, ludowego.

Założenie stadniny janowskiej spowodowało przejęcie przez Zarząd Stada Zamku biskupiego i folwarku Wygoda. Oprócz wspomnianego wyżej połączenia z miastem, po roku 1831 następują na Wygodzie, przeprowadzone z dużym rozmachem, inwestycje budowy stajni i obiektów towarzyszących. W bliskim sąsiedztwie Janowa rodzi się zespół ciekawej architektury o zabarwieniu klasycystycznym (stajnia Czołowa, Woroncowska, Wyścigowa) oraz romantyczna (stajnia Zegarowa). Dla pracowników stadniny wznoszone są domy mieszkalne nawiązujące swą architekturą do budownictwa dworskowego. Istnienie stadniny janowskiej, mającej w XIX w. znaczenie przede wszystkim gospodarcze, a także prestiżowe, w obecnej chwili staje się niezmiernie ważnym dla miasta, ze względu na motoryczne i turystyczne możliwości Państwowej Stadniny Koni.

W czasie I wojny światowej miasto poniosło dotkliwe straty. W roku 1915 i 1916 spłonęło łącznie ponad 350 zabudowań. Tuż po uzyskaniu niepodległości Janów staje się siedzibą administracji powiatu konstantynowskiego i ponownie biskupstwa podlaskiego. Odzyskuje również utracone prawa miejskie. Konieczność odbudowy zniszczeń, nie przynosi zmian przestrzennych miasta, powoduje natomiast nowy ruch budowlany, polegający na zabudowie wolnych placów budynkami drewnianymi, wyłącznie parterowymi, posiadającymi cechy małomiasteczkowej architektury o zabarwieniu lokalnym. Większość istniejących domów dzisiejszego Janowa pochodzi z okresu międzywojennego i one właśnie nadają miasteczku specyficzny urok i koloryt. Z ważniejszych inwestycji ogólnomiejskich powstałych przed II wojną warto wymienić okazały budynek szkoły przy obecnej ulicy 1-go Maja, remizę strażacką, reperację nawierzchni kilku ulic, uruchomienie elektrowni i cegielni.

Historyczny układ przestrzenny miasta po II wojnie światowej nie uległ zatarciu i zachował na ogół swoje walory pomimo pozostających jeszcze zaniedbań i niedogodności. Wysiłkiem społeczeństwa w obrębie rynku i innych ulic miasta powstaje szereg inwestycji użyteczności publicznej, jak: dom handlowy, dom usługowy, hotel z restauracją, dom kultury, ośrodek zdrowia, urząd gminy i inne, niezbędne dla potrzeb współczesnego życia. W mieście działają nowe zakłady usługowe i zakłady pracy, budownictwo jednorodzinne i spółdzielcze. Jednakże należy stwierdzić, że praktyka inwestycyjno-budowlana ostatnich czasów – w odniesieniu do miasteczka tak szczególnego, jakim jest Janów, zagraża w znacznym stopniu wartościom miasta, wykształconym w ciągu wieków. Główną zaletą Janowa Podlaskiego jest harmonijne powiązanie wszystkich elementów historycznego ukształtowania przestrzennego a więc rzeźby terenu z rozplanowaniem sieci ulic i placów, planu miasta z jego bryłą i sylwetką, architektury monumentalnej z podstawową substancją miejską, funkcji z realizacją. Drugim ważnym wyróżnikiem miasta, rzadko spotykanym gdzie indziej, jest swoista trwałość jego form. Przecież plan miasta, powstały zapewne w końcu XV i na początku XVI wieku, przetrwał do naszych czasów, w niemal pierwotnym, tylko nieznacznie uzupełnionym kształcie. Podobnie rzecz się ma z bryłą miasta – uformowaną co prawda w wieku XVII, ale powtarzającą w jakiś sposób układy wcześniejsze. W sferze struktury materialnej od początków swego istnienia, aż do dnia dzisiejszego, miasto posiada, w swej istocie, zabudowę drewnianą. Nie uległa jakimkolwiek przemianom funkcja – Janów w ciągu całych swych dziejów pozostawał miastem wyłącznie rolniczym.

Wartości miasta dopełnia historyczna architektura wieku obiektów sakralnych i świeckich, murowanych i drewnianych. Interesującą zaletą Janowa Podlaskiego jest jego duża ekspozycyjność od strony wjazdów, malowniczość kościołów, domów, ulic i placów, sielankowy trochę senny nastrój całego miasta jak również uderzająca schludność i czystość poszczególnych posesji. W powiązaniu z założeniem pałacowo-parkowym, atrakcjami stadniny koni w Wygodzie, Janów jest miejscem godnym zwiedzenia a także wypoczynku.

W przyszłości nie powinien stać się dużym miastem. Powinien pozostać nadal niewielką osadą o charakterze rolniczym, obliczoną na zaspokojenie potrzeb jej mieszkańców, a także turystów pragnących odwiedzić ten zagubiony nieco, ale interesujący i uroczy zakątek Podlasia.

**Z materiałów Biura Badań i Dokumentacji Zabytków
w Białej Podlaskiej**

prowadzącego do stadniny koni w Wygodzie, a będącego przedłużeniem na wschód dawnej ulicy Zabuznej (ob. Wygodzka). W okresie późniejszym (1893) powstaje nowy odcinek ul. Bialskiej łączący się z ul. Brzeską i wytyczona zostaje droga do Klonownicy. W wyglądzie rynku następuje dość istotna zmiana – część północna placu zostaje zadrzewiona.

Obok działań urbanistycznych wiek XIX przynosi stosunkowo wąsko zakrojone inwestycje o charakterze ogólnomiejskim. Do takich należałoby zaliczyć powstałe na początku wieku probostwo, dobudowę do domu „emeritorium” zachodniego skrzydła (1852 i 1878) dwuklasowej szkoły rosyjskiej na miejscu wypalanej cerkwi (1874) i innych, nie posiadających już znaczenia.

Oddzielnej uwagi wymaga budownictwo mieszkalne tego okresu. Podobnie jak w wiekach poprzednich zdecydowany trzon zabudowy tworzą obiekty drewniane. Zasobność miasta w budowlę murowaną wzrosła w ciągu całego stulecia w sposób minimalny i ograniczała się tylko do jego centrum. Natomiast budownictwo drewniane znajdowało się w pewnym ruchu, powodowanym częstokroć pożarami fragmentów miasta. Charakterystyczne przy tym, że stan liczebny tej substancji aż do lat siedemdziesiątych utrzymywał się niemal niezmiennie na tym samym poziomie i wynikał z trwałości podziałów własnościowych. Po 1870 roku aktywność budowlana uległa wzmoczeniu, co jest o tyle istotnie, że szereg budowli z tego czasu tworzy obecną, starszą zabudowę miasta. Reprezentuje ona sobą typ budynków drewnianych, z dachem szczytowym, ustawionym kalenicą do ulicy, zdobionych częstokroć wyćcinanymi końcami belek stropowych. Niewątpliwie forma tego typu budowli nawiązywała do tradycji budownictwa wiejskiego, ludowego.

Założenie stadniny janowskiej spowodowało przejęcie przez Zarząd Stada Zamku biskupiego i folwarku Wygoda. Oprócz wspomnianego wyżej połączenia z miastem, po roku 1831 następują na Wygodzie, przeprowadzone z dużym rozmachem, inwestycje budowy stajni i obiektów towarzyszących. W bliskim sąsiedztwie Janowa rodzi się zespół ciekawej architektury o zabarwieniu klasycystycznym (stajnia Czołowa, Woroncowska, Wyścigowa) oraz romantyczna (stajnia Zegarowa). Dla pracowników stadniny wznoszone są domy mieszkalne nawiązujące swą architekturą do budownictwa dworskowego. Istnienie stadniny janowskiej, mającej w XIX w. znaczenie przede wszystkim gospodarcze, a także prestiżowe, w obecnej chwili staje się niezmiernie ważnym dla miasta, ze względu na motoryczne i turystyczne możliwości Państwowej Stadniny Koni.

W czasie I wojny światowej miasto poniosło dotkliwie straty. W roku 1915 i 1916 spłonęło łącznie ponad 350 zabudowań. Tuż po uzyskaniu niepodległości Janów staje się siedzibą administracji powiatu konstantynowskiego i ponownie biskupstwa podlaskiego. Odzyskuje również utracone prawa miejskie. Konieczność odbudowy zniszczeń, nie przynosi zmian przestrzennych miasta, powoduje natomiast nowy ruch budowlany, polegający na zabudowie wolnych placów budynkami drewnianymi, wyłącznie parterowymi, posiadającymi cechy małomiasteczkowej architektury o zabarwieniu lokalnym. Większość istniejących domów dzisiejszego Janowa pochodzi z okresu międzywojennego i one właśnie nadają miasteczku specyficzny urok i koloryt. Z ważniejszych inwestycji ogólnomiejskich powstałych przed II wojną warto wymienić okazały budynek szkoły przy obecnej ulicy 1-go Maja, remizę strażacką, reperację nawierzchni kilku ulic, uruchomienie elektrowni i cegielni.

Historyczny układ przestrzenny miasta po II wojnie światowej nie uległ zatarciu i zachował na ogół swoje walory pomimo pozostających jeszcze zaniedbań i niedogodności. Wysiłkiem społeczeństwa w obrębie rynku i innych ulic miasta powstaje szereg inwestycji użyteczności publicznej, jak: dom handlowy, dom usługowy, hotel z restauracją, dom kultury, ośrodek zdrowia, urząd gminy i inne, niezbędne dla potrzeb współczesnego życia. W mieście działają nowe zakłady usługowe i zakłady pracy, budownictwo jednorodzinne i spółdzielcze. Jednakże należy stwierdzić, że praktyka inwestycyjno-budowlana ostatnich czasów – w odniesieniu do miasteczka tak szczególnego, jakim jest Janów, zagraża w znacznym stopniu wartościom miasta, wykształconym w ciągu wieków. Główną zaletą Janowa Podlaskiego jest harmonijne powiązanie wszystkich elementów historycznego ukształtowania przestrzennego a więc rzeźby terenu z rozplanowaniem sieci ulic i placów, planu miasta z jego bryłą i sylwetą, architektury monumentalnej z podstawową substancją miejską, funkcji z realizacją. Drugim ważnym wyróżnikiem miasta, rzadko spotykanym gdzie indziej, jest swoista trwałość jego form. Przecież plan miasta, powstały zapewne w końcu XV i na początku XVI wieku, przetrwał do naszych czasów, w niemal pierwotnym, tylko nieznacznie uzupełnionym kształcie. Podobnie rzecz się ma z bryłą miasta – uformowaną co prawda w wieku XVII, ale powtarzającą w jakiś sposób układy wcześniejsze. W sferze struktury materialnej od początków swego istnienia, aż do dnia dzisiejszego, miasto posiada, w swej istocie, zabudowę drewnianą. Nie uległa jakimkolwiek przemianom funkcja – Janów w ciągu całych swych dziejów pozostawał miastem wyłącznie rolniczym.

Wartości miasta dopełnia historyczna architektura wieku obiektów sakralnych i świeckich, murowanych i drewnianych. Interesującą zaletą Janowa Podlaskiego jest jego duża ekspozycyjność od strony wjazdów, malowniczość kościołów, domów, ulic i placów, sielankowy trochę senny nastrój całego miasta jak również uderzająca schludność i czystość poszczególnych posesji. W powiązaniu z założeniem pałacowo-parkowym, atrakcjami stadniny koni w Wygodzie, Janów jest miejscem godnym zwiedzenia a także wypoczynku.

W przyszłości nie powinien stać się dużym miastem. Powinien pozostać nadal niewielką osadą o charakterze rolniczym, obliczoną na zaspokojenie potrzeb jej mieszkańców, a także turystów pragnących odwiedzić ten zagubiony nieco, ale interesujący i uroczy zakątek Podlasia.

Z materiałów Biura Badań i Dokumentacji Zabytków
w Białej Podlaskiej

publicystyka

ROK 1918 NA PODLASIU

ZE WSPOMNIENIŃ POW-iaka c.d.

Po zapoznaniu się treścią, jeden z żołnierzy udał się z nami do dowództwa. Po przybyciu zauważyliśmy, że Niemcy byli już przygotowani do odjazdu. Od dowództwa otrzymaliśmy pismo informujące, że uprzednie postanowienie zostało zmienione i że polskich jeńców nie będą rozstrzeliwali. Z radością pędziliśmy do Konstantynowa. Po oddaniu pisma udałem się do Palinowa, do domu. Spiesząc się, by Niemcy nie zdążyli odjechać, ubrałem się w stare ubranie, zabrałem trochę żywności i wraz z matką wozem udałem się ponownie do Janowa. Zamierzaliśmy żywność przekazać jeńcom. Budynek diecezjalny, gdzie przetrzymywano jeńców był mi dobrze znany, za czasów urzędowania biskupa wykonywałem tam bowiem roboty murarskie. Gdy dojechalismy, matce powiedziałem, by poszła korytarzem do wskazanego pomieszczenia. Okazało się, że Niemców nie było, a i kłódka zawieszona przy drzwiach, była nie zamknięta. Matka korzystając z okazji, wyjęła kłódkę i więźniowie uciekli. Ukryli się w kościele i na terenie Janowa. Myśmy zaś szybko odjechali. Słyszeliśmy parę wystrzałów, ale do kogo były oddane – nie wiem”.

Niemcy nie pozostawiali jednak obojętni. Zaczęli zabierać miejscowej bezbronnej ludności konie, krowy, owce i świnie. Nim zakończyli akcję pustoszenia, nastął wieczór. Długi transport, bo sięgający prawie dwu kilometrów, gotowy był do wymarszu do Białej Podlaskiej. Ludność miała jednak swoje kontakty z organizacją wojskową, która i tym razem nie pozostała obojętna. Ignacy Mikołajczyk tak wspomina to wydarzenie:

„Kiedy ludzie donieśli nam o wyrządzonej im krzywdzie, szybko powiadomiliśmy polskie legiony w Platerowie. Pamiętam, że była tam wówczas kawaleria i artyleria. Legioniści szybko przyjechali do nas. Zasadzkę zorganizowaliśmy w lesie przy drodze do Białej Podlaskiej, w miejscu obszernego zrębu. Posiadaliśmy karabin maszynowy, granaty, karabiny ręczne i dużo amunicji. Na Niemców czekaliśmy niezbyt długo. Na początku kolumny jechały dwie tankietki i około dwunastu Niemców konno. Gdy tylko czołówka podjechała bliżej, na podaną komendę, otworzyliśmy ogień. Strzelaliśmy jednak tak, by nie zabijać i nie ranić nikogo. Zależało nam na ich przepędzeniu nie zaś zlikwidowa-

niu. Zaskoczenie było zupełne. Takiego stanu rzeczy Niemcy nie przewidzieli. Wystraszeni uciekali w wielkim popłochu w stronę Białej Podlaskiej. Ludzie (mieszkańcy Janowa), korzystając z zamieszania, zbierali swój inwentarz i odjeżdżali w stronę Kłownicy. Dobytek swój zabierali jeszcze o świcie. Akcja była dobrze zorganizowana. Niemcy do Janowa i okolic już więcej nie przyjechali. Siły nasze czyniły teraz przygotowania do ataku na Niemców znajdujących się w Białej Podlaskiej. Słyszałem też, że walki były w Międzyrzecu Podlaskim. Gdy wycofali się z Międzyrzecza, padał już śnieg. W celu zasięgnięcia informacji o Niemcach w Białej Podlaskiej zostałem wkrótce wysłany jako zwiadowca. By nie zwracać na siebie uwagi, ubrałem się w starą kapotę i pojechałem wozem. Wziąłem też ze sobą butelkę po nafcie. Jeden z posterunków niemieckich w sile kilku żołnierzy stacjonował koło cmentarza. Minąłem go bez trudu. Na obecnym Placu Wolności, z bagażem niemieckim i żydowskim, stało dużo wozów. Podśluchałem też rozmowę Żydów z Niemcami o tym, że polskie wojsko „bierze już górę”. Zorientowałem się, że Niemcy przygotowują się do opuszczenia miasta. Kupiwszy naftę, sól i cukier udałem się w drogę powrotną. Niestety zostałem zatrzymany przez Niemców. Zacząłem prosić, żeby mnie przepuścili, gdyż w domu pozostało małe dziecko, dla którego wzięę ów cukier. Oni widząc moje nędzne ubranie i skromne zakupy uwierzyli i kazali jechać dalej. Powierzone zadanie zostało wykonane. Po powrocie do domu, szybko udałem się do Konstantynowa i przekazałem zdobyte informacje. Wkrótce nawiązaliśmy łączność z innymi oddziałami i ruszyliśmy do Białej Podlaskiej.

Pięciu czy sześciu z nas, ubranych po cywilnemu, utrzymywało łączność między naszymi oddziałami. Kiedy dotarliśmy do Białej Podlaskiej, inne oddziały były już w Hrudzie i Ciciborze.

Niemcy zgodzili się opuścić miasto dobrowolnie. Wtedy na Plac Wolności, szosą warszawską od strony Międzyrzecza wkroczyło polskie wojsko. Niemcy byli jeszcze na ul. Brzeskiej. Polacy zajęli północny rejon Placu Wolności. Na czele wkraczających wojsk jechał na koniu oficer. Nagle jakiś Żyd strzelił z okna budynku i zabił polskiego oficera. Spowodowało to wielkie poruszenie. Żyd został schwytyany. Co z nim zrobiono – nie wiem.

Artyleria niemiecka zamierzała opuścić miasto kolejną. Załadowali się nawet na wagony, ale nic z tego nie wyszło, bo żołnierze nasi przewidując zamiar rozkręcili (w pobliżu rzeki Zielawy) szyny. Cały transport został zatrzymany.

Piechota niemiecka wymaszerowała za miasto ul. Brzeską. W lesie Hola urządzono na nich zasadzkę. Gdy Niemcy znaleźli się za wzgórzem, polskie wojsko otworzyło ogień. W tej sytuacji Niemcy zgodzili się na dobrowolne złożenie broni i pomaszerowali w stronę Brześcia”.

Franciszek Zańko



BYŁEM TAM...

1944-1947

Józef Karwacki – urodzony w 1910 r. rolnik z Hołowczyc gm. Sarnaki, uczestnik wojny obronnej 1939 roku, w latach 1944-47 więzień stalinowskich łagrów w Ostaszkanie i Riazaniu. Obecnie, po przekazaniu gospodarstwa synowi, na emeryturze. Od kilku lat amatorsko zajmuje się malowaniem obrazów. Miał kilka wystaw indywidualnych swoich prac m.in. w Siemiatyczach, Łosicach, Białej Podlaskiej.

Pamiętam dobrze tamten dzień. Był późny wieczór 30 października 1944 roku. Przebywałem akurat w drugim pokoju szykując się do snu, gdy przez drzwi usłyszałem rozmowę w kuchni. Ktoś obcy pytał „Czy tu żywiót Józef Karwacki?” Od razu zorientowałem się kto to może być i w pierwszej chwili pomyślałem o ucieczce przez okno, ale coś mnie tknęło, że dom może być obstawiony. Wyszedłem do kuchni, gdzie zobaczyłem kilku żołnierzy w sowieckich mundurach. „Ubieraj się – powiedział jeden z nich – Nic się nie stało, skoro wiernioszsia damoj”. Matka i żona zaczęły prosić i płakać. Włożyłem prędko ciepłą bieliznę, ubranie i w ostatniej chwili nowy, tylko co przyniesiony od kuśnierza kożuszek. Wiedziałem co się święci, bo już od kilku miesięcy docierały do nas wieści o aresztowaniach AK-owców i nie tylko. Wyszliśmy na dwór. Rzeczywiście dom był otoczony przez ok. 30 bojców. Z bronią gotową do strzału, jak bandyotę prowadzili mnie przez całą wieś (ok. 2 km) aż do ostatniego staroego, opuszczonego budynku, gdzie przebywało już kilkunastu aresztowanych z sąsiednich wsi. Tu, pod strażą, spędziliśmy noc usiłując domyśleć się co z nami zrobią. Na drugi dzień wywieźli nas do Horoszek Małych, by nazajutrz przewieźć do Białej na ul. Prosta. Znalazłem się w celi razem z ok. 30 mężczyznami z różnych stron regionu. Odcięci zupełnie od świata przebywaliśmy tu dwa tygodnie. Nie przeprowadzano w tym czasie żadnych przesłuchań, nie przedstawiano zarzutów ani dowodów winy. Mówiono nam tylko, że jesteśmy w więzieniu, bo „to jest właściwe miejsce dla wrogów ludu”. Nigdy nie myślałem, że ja chłop z dziada pradziada, zostanę kiedyś „wrogiem ludu”. W ciągu tył. 2 tygodni żonie udało się dostarczyć przez straż-

nika niewielką paczkę żywnościową i zobaczyć się ze mną z daleka, przez małe okratowane okienko.

Którejś nocy usłyszeliśmy na korytarzu krzyki i hałasy. Kazano wszystkim wychodzić na korytarz i wśród krzyków i jęków wiązano ręce sznurkami z morskiej trawy. Rozkazy wydawane były w języku polskim przez strażników więziennych i po rosyjsku przez NKWDzistów. Wszystkich więźniów wypchano z korytarza wprost do podstawionych samochodów ciężarowych z plandekami (tzw. budy). Związani, przestraszeni jechaliśmy nocą przez śpiące miasto. Po kilkunastu minutach – przesiadka do kilku autobusów. Nikt nie znał celu tej wywózki. Spodziewaliśmy się najgorszego. Dojechaliśmy do Brześcia, stamtąd kolumna autobusów skierowała się na północ. Po kilku godzinach jazdy, kiedy przejeżdżaliśmy przez Puszcę Białowieską, podróż przerwały rozlegające się w lesie strzały z karabinów maszynowych. Samochody zatrzymały się, kazano nam wysiadać. Byliśmy przekonani, że tym razem to już koniec. Niektórzy z nas byli gotowi do ucieczki, rozwiąawszy przedtem sznury na rękach. Okazało się jednak, że ta nocna strzelanina w lesie była jedynie chwilową przeszkodą w naszej podróży. Po półgodzinnej przerwie konwój ruszył dalej. Jeszcze przed świtem dotarliśmy do Białegostoku. Autobusy zajęły na dziedziniec dużego, nowego więzienia. Tutaj, do cel „pojedynek” poupychano nas po 5-6 osób. Najpierw ogolono wszystkich „na zero”, następnie – do „bani”! Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze się ubrać, a tu znów rozkaz: „Wychodzić na korytarz!” Wprost z korytarza zapakowali nas do podstawionych samochodów i zawieźli na dworzec kolejowy. Tam już czekały na nas tzw. bydłące wagony. Do jednego wagonu wpychano po 70-80 osób. Po załadowaniu nas jak zwierzęta, w ścisłu, tłoku zaczęło się sprawdzanie obecności. Wyglądało to w ten sposób, że żołdat wchodził do wagonu trzymając w jednej ręce listę z nazwiskami „wrogów ludu”, w drugiej strasznie dymiącą i śmierdzącą pochodnię. Odczytywanie listy trwało około pół godziny, bo wciąż kogoś było brak. Wreszcie stan listy zgodził się ze stanem faktycznym. Drzwi zostały zamknięte, zaplombowane i – „wpierod!”. Głodni, zmarznięci, w ścisłu i dymie ruszyliśmy w nieznaną na wschód. Tym razem nie było wątpliwości: jechaliśmy w głąb Rosji.

Olbrzymim transportem złożonym z kilkudziesięciu wagonów, w każdym po kilkadziesiąt osób, jechaliśmy ciągle na wschód. Mijały dni i noce, a my ciągle byliśmy w drodze. Raz dziennie strażnicy wstawiali do wagonu wiadro wody, a do jedzenia też raz na dzień wydawali porcje solonych śledzi i suchary oraz słoninę ze stemplem „made in USA”. Wodę piliśmy „nachyłom”, wprost z wiadra. Każdemu wystarczał jedynie jeden chaust, zresztą więcej nie dałoby się wypić, gdyż woda była tak zimna, że zatykało dech w piersiach. Nad ranem cały wagon pokrywał się szronem (listopad), który zlizywaliśmy ze ścian nadrabiając w ten prymitywny sposób brak wody w organizmie. Codziennie w cza-

się postępu odbywała się męcząca „powierka” – odliczanie obecnych. Po wyjściu żołnierza z pochodnią nie było możliwości przewietrzenia wagonu – drzwi zaryglowane, okien nie ma. Im dalej na wschód tym noce stawały się coraz zimniejsze, od przeziębienia uratował mnie zabrany w ostatniej chwili, ciepły kożuszek. Wycieńczeni, zgłodniaли, brudni, chorzy po 18 dniach dotarliśmy wreszcie do miejsca przeznaczenia – obóz w Ostaszkowie. Mimo umęczenia zapanowała wśród nas niesamowita radość, że jednak obóz a nie więzienie. Może uda nam się przeżyć?

W Ostaszkowie zgrupowano ok. 5-6 tys. Polaków. Byli to jeńcy z 1939 roku, deportowani ze wschodnich terenów, żołnierze z Armii Andersa, żołnierze z Ludowego Wojska Polskiego, AK-owcy i inni. Później przywożono i więźniów innych narodowości, byli nawet Chińczycy, Niemcy i jeden Murzyn. W tym obozie (na wysokości Łotwy) przebywałem do połowy lata 1945. Potem większość więźniów przewieziono do innego obozu, 200 km na płd.-wsch. od Moskwy, do Riazania.

W Riazaniu, po przekroczeniu bramy obozu zobaczyliśmy dziwną sytuację: więźniowie nosili polskie wojskowe mundury! Pozwolono nawet na zachowanie dystynkcji oficerskich. Podobnie jak przedtem w Ostaszkowie tak i tutaj 90% więźniów stanowili Polacy: 7-8 tys. ludzi. W oddzielnych barakach przebywało ok. 300 kobiet, przeważnie wywiezionych z Pomorza, Prus, Wielkopolski oskarżonych o to, że były „folksdojczkami”.

W porównaniu z Ostaszkowem w nowym obozie życie było nieco mniej uciążliwe. Strażnicy nie stosowali już tak ostrych rygorów, porcje żywnościowe były trochę większe, praca nie tak mordercza. Przyczyną tej zmiany było chyba zwycięstwo Armii Czerwonej 9 maja 1945 roku i utworzenie państwa polskiego. Od tej pory prawdopodobnie celem NKWD było izolowanie „wrogich elementów” a nie ich wyniszczenie.

Zamieszkaliśmy w barakach z grubych bali, z zewnątrz otynkowanych, z klepiskiem zamiast podłogi. Wewnątrz ustawione były trzypiętrowe prycze z desek. Mnie przyszło spać akurat na najwyższym piętrze. Zagęszczenie było tak duże, że w nocy, kiedy jeden z więźniów przewracał się na bok wszyscy pozostali musieli czynić to samo. Nie dano nam żadnych sienników ani poduszek nie mówiąc już o kocach. Od tych twardych desek, na których musieliśmy spać przez 1,5 roku wszyscy mieli poobcierane boki. Pośrodku baraku stał olbrzymi blaszany piec na trociny, służący do ogrzewania wnętrza i do suszenia mokrych ubrań. Przy nim skupiało się też całe życie towarzyskie baraku. Raz w tygodniu chodziliśmy „do bani” co pozwalało na utrzymanie jako takiej czystości. Największym utrapieniem były natomiast olbrzymie pluskwy, gnieźdzące się wszędzie, na które polowaliśmy dzień i noc rozgniatając je na ścianach. Mimo to wcale ich nie ubywało. Niewielkie okna były na stałe zamknięte, więc jedyny sposób wietrzenia polegał na otwarciu drzwi na

oścież. Wtedy z wnętrza baraku wydobywały się na zewnątrz olbrzymie chmury pary. Ponieważ jednak przeciwko częstemu otwieraniu drzwi protestowali ci, którzy koło drzwi akurat mieszkali, więc najczęściej w baraku panował zaduch i dym, gdyż każdy więzień otrzymywał raz na jakiś czas porcję „krupczatki” (mocnej machorki). Ja akurat nie paliłem, więc „krupczatka” była moim towarem do handlowania. W Riazaniu w barakach założono oświetlenie elektryczne co znacznie podniosło poziom naszego bytowania. Pozwolono też na odwiedzanie się między barakami. Po pracy mogliśmy zajmować się tzw. rozrywkami kulturalnymi: w sali odbywały się występy, koncerty, przedstawienia przygotowywane przez więźniów.

Do codziennej pracy zaganiano wszystkich więźniów oprócz generałów i oficerów (chyba, że sami chcieli) oraz chorych przebywających w obozowym szpitaliku. Prace były różne w zależności od pory roku, od zawodu, od potrzeb gospodarczych pobliskiego miasta Riazania. Pracowaliśmy w miejskiej fabryce, w warsztatach obozowych, przy naprawie torów i dróg, przy rozładowaniu towarów, przy ładowaniu i suszeniu zboża. Byliśmy po prostu rezerwą bezpłatnej siły roboczej dla całego regionu Riazania.

Z jedzenia, jakim nas przez te lata karmiono z przyjemnością wspominam chleb w Ostaszkowie, wypiekany w naszej obozowej piekarni przez więźniów. Poza porcją 600 g chleba karmiono nas obrzydliwą lurą zwaną zupą. Była to po prostu brudna woda zagotowana na zgniłych rybach z pływającymi z rzadka listkami kapusty. Z trudem dawało się to przelknąć. Gdyby nie łyżka cukru dziennie i indywidualna zapobiegliwość o zdobycie jedzenia przy różnych okazjach (np. przy ładowaniu ziarna, wykopkach buraków itp.) przymieralibyśmy głodem. Za „trudodzień” dawano dodatkowo 200 g chleba.

Ucieczka z obozu była prawie niemożliwa. Cały teren był gęsto otoczony drutami, za którymi dzień i noc chodzili wartownicy z bronią gotową do strzału i ze specjalnie szkolonymi psami. A jednak już pierwszego dnia w Ostaszkowie udało się uciec dwóm więźniom. Natychmiast wszczęto alarm i następnego dnia zbiegów złapano. Zostali rozstrzelani na centralnym placu na oczach celowo spędzonych wszystkich więźniów. Ciała ich leżały na ziemi przez dwa dni. W Riazaniu ucieczek było kilka: jedni uciekali np. w ten sposób, że zmylili czujność psów i zabrali je ze sobą aż do Moskwy. Psy wróciły po kilku dniach. Pościg nic nie dał. Potem jeden z uciekinierów przesłał swemu koledze w obozie wiadomość, że są już w Polsce. Większość więźniów nie liczyła jednak na niepewną ucieczkę i stawiała raczej na przeżycie tu, w obozie.

Stosunek służby obozowej do nas był różny. W Ostaszkowie strażnicy byli bardziej brutalni, niedostępni. Wówczas codziennie zmuszano nas do męczącej musztry. Pewnie przewi-

dywano przerzucenie nas na front. Potem frontu już nie było i z musztry zrezygnowano. W Riazaniu wszystkie sprawy wewnątrz-obozowe były w rękach więźniów: rozrywka kulturalna, porządek, szpital, kuchnia itp. Strażnicy strzegli obozu z zewnątrz, pilnowali brygad w czasie pracy. Często rozmawialiśmy z nimi, nawet zwierzały się nam ze swoich prywatnych problemów, spraw rodzinnych. Można było zauważyć, że nam ufają bardziej niż swoim towarzyszom, od których obawiali się donosów. Najczęściej byli to ludzie odbywający normalną służbę wojskową.

Przez cały czas pobytu w obozie byliśmy przekonywani o wyższości nowego ustroju nad starym. Na tzw. mitingach mówiono nam, że w Polsce przedwrześniowej obszarnicy i kapitaliści żyli z wyzysku chłopów i robotników i że teraz to się zmieni, bo zapadnie „władza ludu”. W mitingach udział był obowiązkowy. Skutek tych imprez był raczej odwrotny od zamierzonego, gdyż więźniowie teorię mieli na co dzień skonfrontowaną z praktyką. Tych nielicznych „przekonanych” z pogardą traktowali zarówno współwięźniowie jak i służba obozowa.

Na terenie obozu znajdowała się „bolnica” (szpital), gdzie lekarzami i sanitariuszami byli więźniowie. W przypadku choroby robili co się da, ale z powodu braku leków najczęściej stosowaną formą leczniczą było stawianie baniek. Starsi więźniowie i chorzy często nie wytrzymywali trudów obozowego życia. Zmarłych wywożono poza obóz i zakopywano do jamy. Krzyż z dwóch patyków zrobiony przez więźniów zniknął z grobu już na drugi dzień. Dzisiaj na pewno nie ma już śladu tego „cmentarza”.

Kilka km od naszego obozu w Riazaniu znajdował się obóz jeńców niemieckich. Przez trzy miesiące przebywałem tam wraz z moją roboczą brygadą, wykonując jakąś pracę. Niemcy gotowali bardzo smaczne jedzenie, z którego korzystaliśmy. Nie wiem dlaczego wśród Niemców panowała wysoka śmiertelność. Kilka razy dziennie widziałem jadący wóz z 3-4 trupami.

Pracując poza „zoną” (poza drutami) czasami mieliśmy możliwość kontaktu z ludnością miejscową. Pamiętam jedno zdarzenie, które zrobiło na nas wstrząsające wrażenie. Spotkaliśmy idące przez pole dwie kobiety niosące wiadra wypełnione jakąś czarną mazią. Jak nam powiedziały była to mieszanina błota i zgnitych ziemniaków zabrana z kolchozowego kopca. Kobiety niosły tę maź kilkanaście km do domu, żeby zrobić z tego (po przegotowaniu, odcedzeniu, wysuszeniu) „bliny” czyli rodzaj placków „dla rzebieżków”. Z płaczem opowiadały nam, z jak wielkim trudem muszą zdobywać żywność do wykarmienia swojej rodziny. Muszą kraść ziarno w czasie omłotów, ziemniaki przy wykopkach itp. Kiedy opowiedzieliśmy im o obozie najwyraźniej zazdrościli nam, że mamy zagwarantowane codzienne wyżywienie.

Przez 3 lata pobytu w obozie nie powiedziano mi, jakie konkretne zarzuty na mnie ciążyą. Weidziałem tylko, że jestem „wrogiem ludu”, „wrogiem ustroju” itp. Czasami wyzywano nas od „polskich bandytów”. Ja akurat nikogo nie zabiłem ani nie miałem takiego zamiaru. Później dopiero dowiedziałem się, że „bandytami” byli wszyscy AK-owcy. W Ostaszkowie, w pierwszych miesiącach, kilkakrotnie byłem wzywany /przez NKWD na „doprosy” (przesłuchania), najczęściej w nocy, trwające po kilka godzin. Wciąż powtarzano te same pytania „kto?, z kim? gdzie? dlaczego?” itd. Ponieważ niewiele mogłem powiedzieć, więc wkrótce dano mi spokój. Inni byli na „doprosach” 100, 150 razy. Niektórzy, zwłaszcza oficerowie spędzali po kilka dni w „karcerze” (ciemna wilgotna piwnica w ziemi). W Riazaniu przesłuchań było zdecydowanie mniej. Kiedy narzekaliśmy na ciężką pracę i głodowe porcje jeden z komandirów odpowiedział „Ot, Polaczki! Rabotać niet, tylko kuszać i kuszać! Rabotać nužno! My pracujemy u was, wy pracujecie u nas. Popracujecie i skoro pojedziecie do domu”. Przez trzy lata słyszeliśmy wciąż „skoro” (wkrótce).

Jak już wspomniałem pracowaliśmy często w rizańskiej fabryce. Kradliśmy stamtąd różne drobne metalowe części, by potem w baraku w wolnych chwilach robić z nich przedmioty codziennego użytku, takie jak np. łyżki, noże, grzebień, pudełka, cygarnice, fajki, brzytwy itp. Mnie udało się przywieźć do domu grzebień i łyżkę z aluminium oraz drewniane wieczko pudełka z wyrzeźbionym napisem „Riazań”. Materiały do wyrobu tych przedmiotów braliśmy też z olbrzymiego (50 ha) składowiska maszyn i różnych urządzeń k. Riazania. Na tym cmentarzysku znajdowały się maszyny ściągnięte z całej wschodniej Europy o czym świadczyły napisy. Nikt tego nie pilnował, nikt o to nie dbał. Często zatrudniano nas tam przy wyciąganiu poszczególnych maszyn lub ich części. Przy tej właśnie okazji braliśmy dla siebie przydatne nam różne, drobne, błyszczące części, z których robiliśmy nasze „cuda”.

Korespondencja do i z obozu była raczej niemożliwa. Moja rodzina wiedziała o mnie tylko tyle, że żyję i jestem w Rosji. W październiku 1944 r., kiedy „wyjeżdżałem” z domu zostawiłem żonę i 1-rocznego syna, rodziców, rodzeństwo. Nie miałem o nich przez 3 lata żadnych wiadomości. Niektórzy więźniowie próbowali wysyłać listy przez cywilów spoza obozu, ja jednak tego nie robiłem, gdyż wiedziałem, że jest to sposób niepewny. Na 100 listów wysłanych przez mojego kolegę do Polski dotarły jedynie 3. Z listów, które jakimś cudem doszły do obozu wiedzieliśmy mniej więcej jak wygląda sytuacja w kraju.

Zbliżało się lato 1947 roku, trzeci rok mojego pobytu w krainie szczęścia i dobrobytu. Wciąż na nasze pytania „Kiedy wrócimy do domu?” odpowiadano „skoro, skoro”. Nastroje wśród więźniów były coraz gorsze. Wszystkich zżerała tęsknota za ro-

dzinami, za Polską. Na Piotra i Pawła, 29.VI. w obozie spontanicznie wybuchła głodówka. Kilka tysięcy więźniów odmawia pójścia do kuchni i do pracy. Wśród naczalstwa – panika. Delegacja naszych oficerów domaga się konkretnych odpowiedzi na pytania: 1) dlaczego jesteśmy trzymani tyle czasu bez sądu? 2) kiedy pojedziemy do domu? Na pierwsze pytanie odpowiedzi były takie, jak zwykle, na drugie nadal „skoro, skoro”. W tej sytuacji postanawiamy głodować aż do skutku, żądamy też przyjazdu przedstawicieli polskiej ambasady z Moskwy. „Przeście głodować – mówią – a za kilka dni pojedziecie do domu”. Do obozu przyjechały jednocześnie samochody ciężarowe, z nich zaczęto wyładowywać odzież i ciepłą bieliznę, rzekomo dla nas na podróż. Część więźniów zaczęła wierzyć i strajk lupadł. Następnego dnia zagnano nas na bocznicę kolejową do montowania prycz na wagonach. Wg zapowiedzi najpierw odjechał transport z chorymi, następnie odjeżdżały inne grupy obozowiczów. Umówiliśmy się, że będą pisać na ścianach wagonów dokąd ich wiozą. W obozie pozostało ok. pół tysiąca więźniów. Po kilku dniach wagony zaczęły wracać i wtedy przekonaliśmy się, że zostaliśmy oszukani. Nasi koledzy zamiast do domów zostali rozwiezieni do innych pobliskich obozów. Od tej chwili byliśmy całkowicie niepodatni na jakiegokolwiek rozkazy. Nie chodziliśmy do pracy, ustały wszelkie imprezy rozrywkowe, nie stawialiśmy się na mityngach uświadamiających politycznie. Każdy myślał tylko o jednym: żądamy powrotu do Polski.

Nadszedł październik 1947 r. Pewnego dnia polecono nam znów przygotować prycze w wagonach, układać sienniki ze słomą, poduszki. Powtórnie zaświtała nadzieja: „Może tym razem nas nie oszukują?” Wreszcie opuszczamy obóz. Do stacji kolejowej w Riazaniu szliśmy długą kolumną, całą szerokością drogi. Po obu stronach polami wzdłuż kolumny co kilka kroków marszerują żołnierze NKWD z bronią i z ujadającymi psami. Tak dotarliśmy do stacji. Wtedy już wierzyliśmy, że „skoro” to rzeczywiście „wkrótce”. Załadowaliśmy się do przygotowanych wagonów, każdy zajął miejsce na pryczy i usłyszeliśmy „Wpieriod!” Pociąg ruszył na zachód, chyba do Polski? Od tej pory strażników widzieliśmy tylko w czasie postojów. Dłuższy postój mieliśmy np. w Mińsku Białoruskim, kiedy to pozwolono nam bez straży pójść nawet na miejski bazar. Pamiętam kobietę, która zachęcała nas do kupna kartofli. Nie kupiłem, bo nie mieliśmy pieniędzy, a poza tym nie byliśmy głodni, ostatnie dni w obozie karmiono nas tak jak nigdy przedtem. Dojechalśmy do Brześcia. W wagonach nastrój niemalże świąteczny: wkrótce granica. Niestety okazało się znów, że „skoro” to nie zawsze „wkrótce”. Zanim pojechalśmy do Polski trzeba „niemnożko porabotać”. Kilka tysięcy ludzi znów zagoniono do jakichś baraków i codziennie przez dwa tygodnie kazano zbierać „kartoszki” w pobliskim kolchozie. Każdy dzień wydawał nam się rokiem. Ze łzami w oczach spoglądaliśmy za Bug i czekaliśmy chwili odjazdu.

Na szczęście pogoda była piękna, chociaż to początek października. Kolejno odjeżdżały poszczególne transporty wypełnione „wrogami ludu”. Wreszcie kolej na nas. Długi pociąg („szaton”) z kilkoma tysiącami ludzi przekracza granicę w Terespolu i zdąża dalej do Białej. Tutaj zgotowano nam uroczyste powitanie. Myślami każdy był już w domu, ale pamiętam, że częstowano nas gorącym obiadem na dworcu PKP i dano suchy prowiant na dalszą drogę. Kolejką dojechałem do Konstantynowa i stąd pieszo ruszyłem do Hołowcyc. W domu wiedzieli już, że wracam gdyż wieść o powrocie naszych rozeszła się błyskawicznie po okolicy. Wszyscy stali przed domem, a kiedy zobaczyli mnie – ruszyli mi naprzeciw. Po trzech latach wracałem do domu tak jak wyszedłem – z niewielkim tobołkiem w ręce.

Dziś mam 79 lat i chciałbym jeszcze doczekać chwili...

Józef Karwacki
opracował Mieczysław Skalimowski

HISTORIA BIBLIOTEKI AKADEMII BIAŁSKIEJ KOLONII UNIwersYTETU Jagiellońskiego W KRAKOWIE

XVIB 2: XIH 2: TC

Kolonie Uniwersytetu Jagiellońskiego tworzyły jedyną w świecie sieć szkół podległych jednej uczelni na terenie całego państwa.

„Wielebny ksiądz Krzysztof Wilski, proboszcz białski... z własnych dóbr swoich, w majątności i w mieście naszym Białej, przy tymże kościele białskim (św. Anny), Collegium na oświecenie w naukach wyzwolonych ludzi młodych, a przy nim bursy, albo alumnatus na wyżywienie ich ufundować zamyslił”. (R. Kp. Biblioteki Jagiellońskiej nr 226). W 1629 r. ks. Wilski sprowadza z uczelni krakowskiej profesorów i założony zakład oddaje pod opiekę Akademii Krakowskiej. Szkoła w Białej staje się kolonią akademicką na wzór kolonii w Chełmie, Poznaniu, Lwowie, Olyce czy Tucholi. W dziesięć lat później Andrzej Gembicki, biskup Łucki zatwierdził erekcję (powstanie) Akademii Białskiej, a synod biskupi w 1641 r. potwierdził ją, stwierdzając, że „Fundacja ta jest sprawiedliwą, stałą i ma trwać wieczność”.

Kolonie Akademickie były to szkoły na poziomie średnim i wyższym, które zaczęto zakładać od 1588 r. Białka była ostatnią. Zatwierdzona została w 1640 r., chociaż już w 1638 wyszła broszura sławiąca oprócz Wilskiego także jego następcę ks. Macieja Drwęskiego – drugiego ojca Akademii Białskiej. Poziom jaki uzyskiwała szkoła białska (w różnych latach historii Rzeczypospolitej) był różny. W najlepszych latach, tj. w końcu XVII i na początku XVIII w., osiągnęła „...wyższy poziom naukowy”, który był warunkowany wykładami prawa i filozofii. Założyciel, jak wskazują „Puncta futuri Collegii Bialensis” miał sprowadzać z Akademii Krakowskiej 8 profesorów, w tym doktorów filozofii i praw.

Do uzyskania należytego poziomu naukowego potrzebni byli nie tylko uczeni profesorowie, ale także odpowiednia, zaspokajająca potrzeby kadry naukowej, biblioteka. Sądzić można, że pierwsi profesorowie podreżnikii



Karta tytułowa J. Potulicki, Historia o rewolucji królestwa szwedzkiego y Duńskiego. Frontopis.

i lektury pomocnicze, przywieźli ze sobą. Zresztą zwyczaj przywożenia przez wykładowców ksiąg do kolejnych szkół, do których byli przeznaczeni, istniał we wszystkich koloniach krakowskich. W Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego znalazłam starodruki „Chelmo”, „Lwów”, „Biała Podlaska”. Według mnie były to książki desygnowane do tych miejscowości i wróciły po pewnym czasie do uczelni macierzystej. Średnia pobytu profesora w kolonii wynosiła 2,5-3 lata. Profesor zabierał ze sobą potrzebne książki i po skończonej bytności w danej kolonii wracał z nimi do Krakowa albo zostawiał swojemu następcy. Zastanawia tylko brak sygnatury Uniwersytetu Jagiellońskiego na takich księgach. Można to sobie wytłumaczyć tylko tym, że profesorowie wyjeżdżający do kolonii dostawali egzemplarze nowe. W wieku XVII i XVIII Uniwersytet bardziej było stać na kupno książek niż poszczególne kolonie.



Inicjaly C i D z dzieła Nicolai Simi. Ephemerides. Off. Erosmiana Vincenti.

W Białej Wilski nie przewidział żadnych sum na kupno książek, może wiedział, że profesorowie sprowadzeni z Krakowa, przywożą je sami. Hipoteza, że Wilski ofiarował pewną ilość książek Akademii Bialskiej nie znajduje potwierdzenia w świetle badań proveniencyjnych, przeprowadzanych przeze mnie. Jedyna książka znajdująca się w bibliotece z odręcznym podpisem Wilskiego nie stanowi żadnego dowodu ofiarowania książek akademii przez założyciela. Powyższa książka została przekazana bibliotece przez rektora Saltszewicza w stulecie akademii, czyli w 1739 r. z jego własnej biblioteki, a jak do tego doszło, nie wiemy. Książka ma rzeczywiście odręczny napis z 1613 r. „Ex libris Cristophori Wylsky”, a więc na szesnaście lat przed ufundowaniem Kolegium w Białej.

Dlaczego o tym piszę. Otóż już na początku zbierania informacji o bibliotece doszły do mnie fałszywe wieści, uparcie powtarzane w Białej Podlaskiej. Po pierwsze o istnieniu większej ilości książek ofiarowanych bibliotece przez Wilskiego, po drugie o dużej roli Radziwiłłów w utrzymaniu akademii i jej biblioteki i po trzecie o stnieniu większej ilości inkunabułów (książek wydrukowanych do 1500 r.) w bibliotece kolonijnej. Radziwiłłowie rzeczywi-



Supereclibris z herbem Nałęcz z dzieła Diodori Siculi tłoczony
w jasnobrązowej skórze cielęcej. Intrologator nieznan.

ście uczestniczyli w procesie istnienia akademii, ale w porównaniu z rolą Zamoyskich w Zamościu czy też Lubrańskich w Poznaniu, ich udział był znikomy. Robili bowiem to, co musieli jako właściciele Białej. Bibliotekę radziwiłłowską wywiozła z Białej Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa, synowa Stanisława Karola, fundatora Kościoła Reformatorów pod wezw. Św. Antoniego. Na żadnym starodruku nie znalazłam śladu prowieniencki Radziwiłłowskiej.

Co do inkunabulów, ponoć były dwa, ale widziałam tylko jeden, oznaczony u Estreichera w t. XVII na s. 179: *Glogovia J.: De Questiones...* wyd. przez W. Stoecla w 1499 r. Egzemplarz bardzo zniszczony przy oprawie, obcięto w nim bardzo cenne marginalia (zapiski odręczne zrobione na marginesach książki) o 3 cm z każdej strony. Stwierdziłam to, porównując identyczny egzemplarz w bibliotece uniwersyteckiej we Wrocławiu.

Wracając do historii biblioteki i jej początków należy stwierdzić, że nie zachowały się żadne spisy ani inwentarze. Wszystko co tu piszę wynika z analizy samych książek i regulaminu wydanego przez uniwersytet krakowski, który obowiązywał wszystkie szkoły kolonijne. J. Bartoszewicz w swojej monografii zamku białskiego (J. Bartoszewicz, Zamek Białski, Lwów 1881, z aneksem) w art. 3 § 1 aneksu pisze: „Každy nowy rektor z wszelką pilnością i wiernie, porówna inwentarze... biblioteki i archiwum dawnego rektora... i wszystko to bez zwłoki J. W. rektorowi (Uniwersytetu Krakowskiego) prześle”. Niestety w archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego nic takiego nie znalazłam, a powinno być tam co najmniej kilkanaście takich sprawozdań, gdyż Biała, w ciągu swego istnienia, miała ponad dziesięciu rektorów.

Istnienie biblioteki jest bezsporne, na wielu egzemplarzach są odręczne napisy „Biblioteca Akademe Bialensis” lub „Ex libris Colegium Albae Ducalis” pochodzące z XVII i XVIII w. Losy biblioteki w ciągu 138 lat jej istnienia były różne. Liczne kataklizmy nawiedzały miasteczko i mogły częściowo zniszczyć także bibliotekę (pożary, wojny a szczególnie najazd szwedzki).

Wspomniany już Bartoszewicz pisze, że Akademię z upadku podniosła Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa, kiedy w drugiej połowie XVII w. na stałe przeniosła się do Białej. Prof. L. Hajdukiewicz, dyr. archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, przekonywał mnie o darach książkowych księżnej i biskupa Żaluskiego, rezydującego w Janowie. W księgozbiornie, liczebnie dość obszernym, śladów na istnienie darów biskupa i księżnej jednak nie ma. Wydaje się, że oboje byli tak zamiłowanymi zbieraczami, że dalecy byli od chęci pozbywania się posiadanych książek nawet szkole w jakimś sensie im podległej.

Przełom wieku XVII i XVIII był dla Akademii Białskiej bardzo pomyślny, ale już w 1706 roku gen. szwedzki Meyrfeld niszczy miasteczko doszczętnie. W jaki sposób dotknęło to Akademię Białską nie wiemy, chyba wyszła z tego obronną ręką, gdyż ostatni rektor Dziedzicki zastaje ją w stanie dość dobrym. Ten ostatni okres jest najlepiej udokumentowany. Są bardzo liczne zapisy książkowe rektora Dziedzickiego i jednostkowe sprawozdania z kontroli przeprowadzonych przez przedstawicieli Komisji Edukacji Narodowej, które mówią o stanie biblioteki. Ks. Dziedzicki najbardziej przyczynił się do powiększenia stanu ilościowego biblioteki. Ten wspaniały człowiek, którego zaniedbany i zapomniany pomnik nagrobny stoi do dziś za chirurgią dawne-

go szpitala Św. Karola Boromeusza, pomimo przekształcenia Akademii w Szkołę Podwydziałową, jako jedyny z nielicznych (w uznaniu dla jego wiedzy i umiejętności organizacyjnych) pozostał na swoim stanowisku.

W 1773 r. a więc w rok po pierwszym rozbiore następuje kassata zakonu Jezuitów. Szkoła otrzymuje potężny zastrzyk książek z likwidowanych kolegiów jezuickich. Ilość książek z kilkuset dochodzi do 1100 vol., ale jakościowo biblioteka zyskuje niewiele, gdyż przy „rozbiore” książek pojezuickich najwartościowsze zabierały najsilniejsze biblioteki, a więc warszawskie i krakowskie w Koronie, i wileńska w W. Ks. Litewskim. W latach 1826-31 biblioteka wzrastała w szybkim tempie. W roku poprzedzającym Powstanie Listopadowe (1830) liczyła już 1470 vol. Nie zapominajmy jednak, że był to okres dużego rozwoju drukarstwa, ogromnego wzrostu wydawnictw zwartych. Mniej więcej w tym okresie opiekę nad biblioteką przejął prof. Zengteller, który postanowił uaktualnić księgozbiór przez usunięcie wszystkich starych ksiąg. Zarzuty wizytatorów Komisji Edukacji Narodowej, iż księgozbiory kolonijne są pełne starych, nikomu niepotrzebnych książek, były w pewnym miarze słuszne, nie wiadomo jednak czy dotyczyły one Białej. W każdym razie polecenie wizytatorów było kontrowersyjne. Dziedzicki dyrektorując do 1794 r. książek nie wyrzucał i na pewno nie pozwoliłby na to Zengtellerowi. Gloger w „Szkole Białskiej” tak wspomina to wydarzenie: „Opowiadał Kraszewski, że myszkując na strychu szkoły spotkał się ze skrzynką bardzo starych książek wyrzuconych z biblioteki białskiej przy porządkowaniu jej przez prof. Zengtellera. Pierwszym szpargałem, który mi się w ręce dostał był „Zielnik Marcina z Urzędowa”. Ile takich „niepotrzebnych” książek usunął profesor, nie wiemy.

Od 1831 roku szkoła, a z nią biblioteka, ulegała intensywnej rusyfikacji. Po 1864 roku usunięto wszystkich polskich profesorów, na ścianach rozmieszczono napisy „Wospreszczajetsia gawarit po polski”, a do biblioteki kupowano książki tylko w języku rosyjskim. W 1915 r., gdy Rosjanie cofali się przed nacierającymi Niemcami, wywieziono całe archiwum szkolne i aktualną dokumentację szkoły. Bibliotekę zostawiono. Mieszkańcy Białej zabrali z biblioteki polskie książki, aby po wojnie przekazać je pierwszemu dyrektorowi Gimnazjum im. J. I. Kraszewskiego panu W. Nartowskiemu.

O organizacji biblioteki wiemy niewiele. Do 1777 r. z biblioteki korzystali tylko profesorowie i sporadycznie ludzie spoza Akademii – mieszkańcy Białej – o czym świadczą zapisy w statucie Kolonii (dokładna ewidencja osób wypożyczających książki z biblioteki akademickiej). Książki do użytku uczniów były osobno, w specjalnej skrzyni, kupowali je uczniowie za własne pieniądze. Osobno były też książki religijne: – śpiewniki, katechizmy, książeczki do nabożeństwa itp. Biblioteka główna najprawdopodobniej ułożona była alfabetycznie, w działach przedmiotowych, takich jak: retoryka, gramatyka, filozofia, prawo itd. Książki nie były oznakowane żadnymi numerami ani oznakami działów. Miały na grzbiecie tylko nazwisko autora i pierwsze słowa tytułu, były jednakoowo oprawne w półskórek, chyba że od razu wydane były w jakiejś ozdobnej oprawie, jak np. reprodukowana księga Diodora Siculi z przepięknym superexlibrisem herbowym w stylu polskiego renesansu książkowego.



Sygnety drukarski oficy „E Collegio Musarum Paltheniana” z dzieła
Rulando M. Progymnasmatia Alchemiae.

Do cenniejszych ksiązek bibliotecznych można zaliczyć Potulickiego Historię o rewolucji królestwa Szwedzkiego y Duńskiego, z typowo sarmacką kartą tytułową, pisaną bardzo ciekawą polszczyzną oraz nadzwyczaj cenny rękopis z astronomii, wywodzący się z XVI w. Zabytkowa biblioteka zawiera 767 vol., w tym 32 starodruki i jeden inkunabuł. W skład jej wchodzi także książki spoza dawnej biblioteki akademickiej, zebrane wśród mieszkańców Białej przez dyr. Nartowskiego po I wojnie światowej. W 1918 roku książki dawnej biblioteki akademickiej otrzymały nowe napisy własnościowe (już czwarte z kolei) – pierwsze Kolonii Uniwersytetu Krakowskiego, drugie Szkoły podwydziałowej Komisji Edukacji Narodowej, trzecie „Ruskiej gimnazji w Białej” i ostatnie Biblioteki Gimnazjum im. J. I. Krászewskiego w Białej Podlaskiej.

M. Nękanda-Trepka

folklor

MUZYKA CIĄGLE JESZCZE WE MNIE SIEDZI

Pan Marczuk Zdzisław jako skrzypek ujawnił się ponownie szerokiemu gronu słuchaczy po 16 latach milczenia, gdy w 1987 roku trzeba było ratować honor gminy Konstantynów w „Turnieju gmin Konstantynów – Boćki”. Pod usilną namową dyrektorki GOK w Konstantynowie (woj. białkopodlaskie) pani **Barbary Pietraszuk** zgodził się wystąpić w okazjonalnie utworzonej kapeli. Zagrali w niej: **Zdzisław Marczuk – I skrzypce, Stanisław Sobieszek – II skrzypce, Eugeniusz Marczuk – harmonia.**

Każdy z muzykantów z trwogą brał instrument do ręki. Nie grali razem od wielu lat. Żaden z nich nie wierzył, że jeszcze potrafi coś zagrać.

Zdzisław Marczuk wspomina: „Kiedy wziąłem skrzypce do ręki, to aż się bałem pociągnąć smyczkiem. Palce były sztywne, smyczek nie chciał „chodzić”, ale po kilku próbach rozegrałem się. Okazało się, że to, czego się nauczyłem w dzieciństwie, całkowicie z głowy nie wyleciało, a trudności techniczne są do pokonania.”

Odbył kilka prób z kapelą i muzyka zabrzmiała tak jak niedługo na zabawie wiejskiej czy w weselnej izbie.

Po występie w „Turnieju gmin” wziął udział w Wojewódzkim Przeglądzie Kapel i Śpiewaków Ludowych w Białej Podlaskiej w 1988 roku, ale już jako skrzypek solista.

Był to jego pierwszy występ na takim przeglądzie i pierwsza nagroda.

Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu potwierdził jego klasę. Zagrał oberka, polkę i marsza. Zrobił to tak dobrze, że komisja artystyczna przyznała mu I nagrodę.

Tremę miał ogromną. Mówi mi: „Tak się trząsłem cały, że już sam zwątpiłem czy coś zagram, ale na scenie trema minęła”.

Gra na skrzypcach jak mało kto. Pięknie ograła melodię, gra dwudźwiękami. Tworzy jakby nową jakość muzyki. Jest ona inna, bogatsza, ale bez cienia wątpliwości nasza, podlaska.

Skąd wziął się taki muzykant?

Urodził się w 1943 roku w rodzinie chłopskiej w Zakalinkach, małej wiosce leżącej na trasie Konstantynów Siemiatycze. Ojciec był znanym w okolicy muzykantem. Grał na skrzypcach na wielu zabawach, weselach... W domu też często rozbrzmiewała muzyka ku radości jego dwóch synów: Eugeniusza i młodszego o cztery lata Zdzisława. Chłopcy słuchali jak ojciec gra, przyglądali się jak trzyma skrzypce, jak palcuje, prowadzi smyczek. Czasami ojciec pozwalał im na skrzypcach „pograć”. Starszy brat doskonale dawał sobie radę. Młodszy miał problemy. Rączki małe, krótkie, skrzypce i smyczek duże. Nie mógł ich nawet utrzymać pod brodą, nie mówiąc o smyczkowaniu i palcowaniu. Wspomina: „Kładłem czasami skrzypce na łóżku i ciągałem smyczkiem po pustych strunach, a brat aż siniał ze złości”.

Zapał do gry obu braci był tak ogromny, że musieli walczyć między sobą o skrzypce.

Pewnego dnia, pod nieobecność rodziców w domu, w tej samej chwili obaj poczuli nieodpartą potrzebę grania, a skrzypce były jedne. Stoczyli ze sobą ostrą walkę, a najbardziej ucierpiały skrzypce. Roztrzaskali je tak dokładnie, że nie było nawet co kleić. Od tego wydarzenia w domu było cicho, spokojnie i smutno.

W niedługim czasie ojciec kupił od nauczyciela drugie skrzypce. Teraz już bardziej metodycznie wprowadzał w tajemnice sztuki skrzypcowej swoich synów. Mieczysław radził już sobie doskonale. Ręce Zdzisława wciąż były za krótkie do dużych skrzypiec. Chęć do grania natomiast olbrzymiała z każdym dniem. Jako kilkuletni chłopiec sam sobie zrobił „skrzypce”. Wystrugał starannie nożykiem kawałek deseczki, z innego kawałka drewnianka zrobił „podstawek”. Z jednej strony na małym gwoźdźniku wbitym w deseczkę umocował starą strunę, a z drugiej umocował ją na kołku, włożonym w wyżłobiony otwór. Wyskubał koniowi z ogona kilka włosów, przymocował je do kabłąka. Był to „smyczek”. Nieszczerólny był to „instrument”, ale własny i można było się nim bawić kiedy przyszła ochota, bez obawy, że coś się zepsuje.

Doczekał wreszcie chwili, by pod okiem ojca zacząć poznawać tajemnice prawdziwego instrumentu i rozwijać swoje niewątpliwe zdolności.

Obdarzony jest dużą wrażliwością muzyczną. Opowiada mi: „Kiedy rodzice szli w pole i nikogo w domu nie było, to jak tylko usłyszałem w głośniku, że gra duża orkiestra, zaraz brałem stół, stawiałem go przed głośnikiem i stojąc na nim machałem rękami w rytm muzyki, dyrygując tak. Bardzo mi się ta muzyka podobała. Jak chodziłem do kościoła, to zawsze stałem przodem do chóru, tyłem do ołtarza jak odmieniec jaki i słuchałem, słuchałem”...

Starszy brat grał już po weselach, a młodszy pod okiem ojca rozwijał swoje umiejętności. Na pamięć znał cały repertuar ojca i brata, ale technicznie nie wszystko umiał wygrać. Był pojętym uczniem i wkrótce nauczył się grać wielu melodii. W wieku 11 lat zagrał na weselu jako skrzypek w kapeli. Za dwa grane wesela zarobił 350 zł i mógł kupić za to pantofle.

Starszy brat z czasem kupił sobie harmonię trzyczęściową, nauczył się na niej grać. Mieli zatem własną kapelę. Z upływem czasu właśnie między braćmi ustały.

Zdzisław o muzyce myślał poważnie. Dowiedział się, że w Lublinie jest szkoła muzyczna. W 1958 roku pojechał na egzamin. Zdał. Został przyjęty. Rodzice zdecydowanie byli przeciwni temu wyborowi. Uważali, że z muzyki ich syn nie będzie jadł chleba. Tak więc o szkole muzycznej nie było mowy.

Skorzystał z możliwości uczenia się w ognisku muzycznym w Białej Podlaskiej i w 1959 roku został uczniem prof. **Jana Brody**. Ze smutkiem wspomina: „Ciężko miałem. Do Białej musiałem dojeżdżać kolejką wąskotorową, bo autobusów wtedy nie było. Bywało, że spóźniłem się na kolejkę i na następną musiałem czekać aż do rana. Czasami nocowałem w otwartych sieniach jakiegoś domu, bo nie miałem tam żadnej rodziny. zdarzało się, że w zimie byłem zmarznięty i głodny. Uczyłem się dobrze. W nagrodę byłem w operze. Wywarła na mnie ogromne, ogromne wrażenie”. Po roku, choć wyniki w nauce miał bardzo dobre, z ogniska muzycznego musiał zrezygnować. Taki tryb życia był ponad jego siły.

W dalszym ciągu grał na weselach, zabawach. Za zarobione pieniądze kupił sobie trąbkę, instrument coraz modniejszy w kapelach wiejskich. Zmieniał się repertuar muzyczny kapel ludowych. Stawał się coraz bardziej nowoczesny. Zmieniały się gusty mieszkańców wsi. Melodie z radia królowały teraz na weselach i zabawach.

Z trąbką jeździł cztery razy do kapelmistrza orkiestry strażackiej w Białej Podlaskiej, aby mu pokazał sposób zadęcia i udzielił kilku niezbędnych wskazówek technicznych. Cwiczył wytrwale.

Teraz na grania zabierał ze sobą skrzypce, trąbkę, a jak trzeba było zaśpiewać, to chętnie śpiewał.

Z czasem zrezygnował zupełnie z gry na skrzypcach na rzecz trąbki a samo życie w podjęciu tej decyzji pomogło.

Pewnego razu, gdy muzycyści wesóło przygrywali do tańca, wśród biesiadników rozgorzała okropna walka. Jednemu z rozścieszonych młodzieńców za narzędzie broni posłużyły wyrwane z rąk muzykanta skrzypce. Z impetem roztrzaskał je na czyjejs gówie. Zdzisław skleił te skrzypce jak mógł najstaranniej, ale trzeba przyznać, że ślady zniszczenia są bardzo mocno widoczne do dziś i już chyba w żaden sposób nie da się ich ukryć. Na kolejnym weselu, gdy znów rozpętała się bijatyka, Zdzisław uciekając przez okno złamał smyczek. Tak więc cała została tylko trąbka i na niej grał.

W 1972 roku ożenił się. Zaczęło się inne życie, inne problemy. Muzykowanie skończyło się na dobre. Trzeba było zająć się poważnie gospodarką, domem...

Na świat przyszło sześcioro dzieci. Po dziadku i ojcu odziedziczyły zamiłowanie do muzyki. Zdzisław uczy swoje dzieci. Najstarsza córka chodzi do Szkoły Muzycznej I stopnia w Białej Podlaskiej, 11-letni syn dobrze radzi sobie ze skrzypcami. Młodsze muszą poczekać.

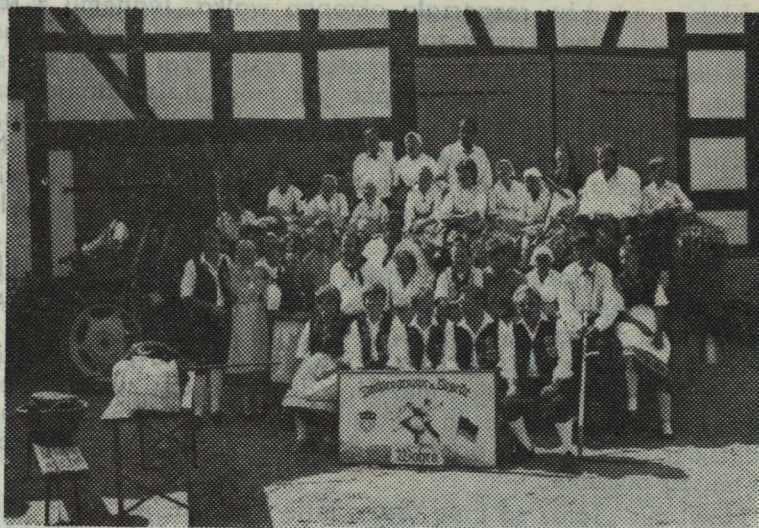
Mówi mi: „Teraz są inne czasy, inne warunki. Jak moje dzieci zechcą się uczyć, to ja im nie będę bronił. Ja swoje dzieci zrozumieć. Sam dużo wycierpiałem w dzieciństwie. Choć to już tyle lat minęło, muzyka ciągle jeszcze we mnie siedzi”.

Aranuta Ada Radzikowska

„DZIECI PODLASIA” TAŃCZĄ PIĘĆ LAT

W poprzednim numerze naszego kwartalnika prezentowałam dorobek artystyczny renomowanego zespołu tanecznego z Białej Podlaskiej, obecnie zaś, także w związku z jubileuszem, przedstawiam inny, młodszy nie tylko stażem, ale i wiekiem tancerzy, Zespół Pieśni i Tańca „Dzieci Podlasia”.

Pomysł założenia zespołu zrodził się w Spółdzielni Mieszkaniowej w Międzyrzeczu Podlaskim w roku 1983. Inicjatorem był pracownik tego zakładu p. Tadeusz Kuśnieruk. Pomysł szybko przeobraził się w fakt i oto p. Teresa Kuźnia rozpoczęła pracę z dziecięcym zespołem tanecznym. Jak to zwykle bywa, początki były bardzo trudne, wymagały od p. Teresy nie lada wysiłku i poświęcenia, ale zapał, energia i wydatna pomoc ze strony Spółdzielni, zrobiły swoje. Zespół wprawdzie ze skromnymi programami, bo składającymi się zaledwie z kilku tańców zaczął pokazywać się na scenie jeszcze w roku 1983. Początkowo oglądali go mieszkańcy Międzyrzecza, ale już w 1984 roku także i Olsztyna na Ogólnopolskim Przeglądzie Zespołów Folklorystycznych „Społem”. Właśnie w Olsztynie zespół odnotował swój pierwszy sukces – zdobył wyróżnienie. Na przegląd zespół pojechał już z kapelą, która powstała w Spółdzielni PSS „Społem” w Międzyrzeczu Podlaskim. Od tego czasu kapela na trwałe związała się z zespołem tanecznym i przygrywa dzieciom do dzisiaj.



Nazwę „Dzieci Podlasia” zespół przyjął w roku 1985. Obecnie zrzęsza on 50 młodych tancerzy, którzy pracują w dwu grupach wiekowych. Większość tancerzy od chwili jego powstania i jest to bardzo cenne, wpływa niewątpliwie na poziom artystyczny wykonywanych tańców. Dowodem na uznanie wysokiego poziomu artystycznego prezentowanych przez zespół programów jest przyznana weryfikacja MKiS.

Przez okres pięciu lat „Dzieci Podlasia” zrealizowały aż 107 koncertów, w tym 11 za granicą (Belgia, Związek Radziecki). Na dorobek ów złożył się wysiłek wspomnianej już wcześniej p. Teresy Kuźni, obecnych instruktorów Jolanty Nowak i Zbigniewa Bernata oraz choreografów – konsultantów: Heleny Januszczki, Emmy Cieślińskiej, Edwarda Hoffmana, Zofii Janczewskiej, Kazimiery Walczak, Anatola Worobiowa i innych.

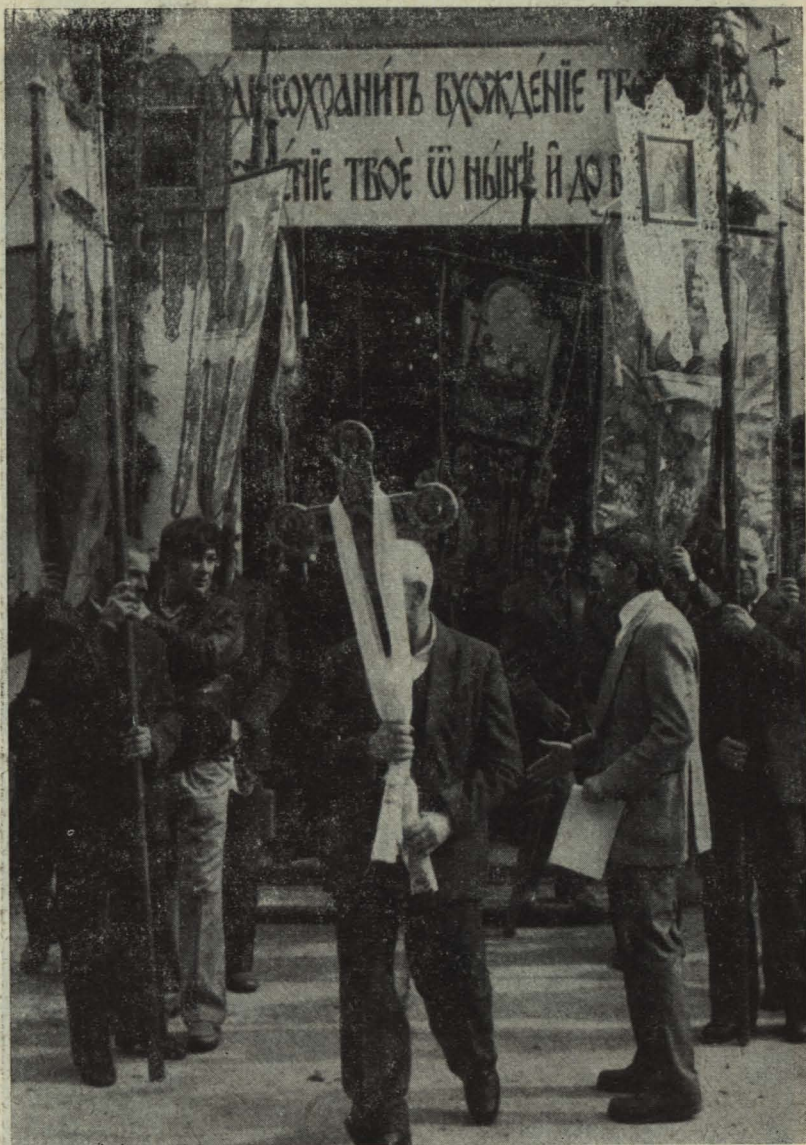
Wysiłek sownie się opłacił, bo zespół w 45-minutowym programie prezentuje się doskonale i jest nagradzany nie tylko burzliwymi oklaskami w trakcie koncertów, ale na festiwalach i przeglądach (nie tylko wojewódzkich) zdobywa nagrody i wyróżnienia.

Z okazji pięciolecia działalności, życzę zespołowi wielu nowych sukcesów i przeżyć, a przede wszystkim radości z uprawiania trudnej, ale jakże pięknej sztuki tańca i następnych jubileuszy w tym samym składzie.

(db)

W JABŁECZNEJ, W 1000-LECIE CHRZTU RUSI







Fot. JACEK GRAD

WIERNI TRADYCJI

Folklorystyczny zespół KGW z Sitnika istnieje dziesięć lat. Istnieje to jednak zbyt skromne stwierdzenie. Dziesięcioletnia bowiem działalność zespołu jest bardzo udana i bogata. A zaczęło się bardzo prozaicznie. Ogłoszony w 1979 r. przez Wojewódzki Dom Kultury przegląd kapel i śpiewaków ludowych zdopingował członkinie z KGW: p. Marię Dmitruk, Stanisławę Pyrkę, Janinę Michalczuk, Marię Chwedczuk, Reginę Litwiniuk i Mariannę Ziniewicz do wzięcia w nim udziału. Stworzyły więc zespół śpiewaczy, przygotowały piosenki śpiewane w czasach młodości i przez rodziców, i wzięły udział w przeglądzie. Wprawdzie na początku sukcesu w postaci wyróżnionego miejsca nie było, ale zapal pozostał.



Pierwsze sukcesy odnotował zespół w roku 1981. Na Wojewódzkim Przeglądzie Kapel i Śpiewaków Ludowych w Białej Podlaskiej za prezentację autentycznych ludowych piosenek podlaskich zespół zdobył drugą nagrodę. Aktywność zespołu rosła, a i liczba członków także zwiększała się. Dołączyły panie: Józefa Kutasiewicz, Edyta Nowicka i jedyny mężczyzna p. Ludwik Chwedczuk. Wtedy też postanowiono, z inicjatywy instruktorów WDK, prezentować (obok piosenek podlaskich) widowiska obrzędowe, ukazujące dawne zwyczaje ludowe Podlasia. Jako pierwsze zaprezentowano „Prządk”. Widowisko to obejrżeli mieszkańcy Białej Podlaskiej na VIII Wojewódzkim Przeglądzie Teatrów Amatorskich i Stoczka Łukowskiego, gdzie zespół jako reprezentant województwa uczestniczył w X Sejmiku Wiejskich Zespołów Teatralnych. Po „Prządkach” przyszła kolej na inne: „Pierzajki”, „Święte wieczory”, „Obrzędy Wielkanocne”, „Pieczenie chleba” i „Wieczór wigilijny” – widowisko, które zapewniło zespołowi sławę nie tylko w województwie. W roku 1985 zespół uczestnicząc w II Sejmiku Teatrów Wsi Polskiej w Tarnogrodzie za prezentację tegoż widowiska zdobył najwyższą nagrodę i zaproszony został do Warszawy, by w Teatrze Wsi Polskiej „Wieczór wigilijny”



pokazać mieszkańcom stolicy. Prezentacja, przy wypełnionej sali Teatru „Kwadrat”, odbyła się w grudniu 1986 r. Wcześniej, bo w listopadzie 1985 r. „Wieczór wigilijny” i jego scenariusz zdobyły pierwsze miejsce w Myślenicach na I Ogólnopolskiej Gieldzie Programowej Klubów Wiejskich. Widowiskiem zainteresowała się telewizja i radio – nagrania i prezentacja miały miejsce kilkakrotnie w roku 1985 i 1986. Specjalnie na zamówienie telewizji wiosną 1986 r. zespół przygotował program „Obrzędy wielkanocne na Podlasiu” – emisja w tv 30.04.1986 r. Ukazując dorobek zespołu nie sposób nie wspomnieć i o indywidualnych sukcesach jego członków. Oto pani Maria Dmitruk jako śpiewaczka ludowa piosenką o chrzcinach w 1987 roku na Ogólnopolskim Przeglądzie Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu wyśpiewała pierwszą nagrodę. Panie Maria Chwedczuk, Stanisława Pyrka, Maria Dmitruk i Janina Michalczuk, w uznaniu zasług wychowawczych, odznaczone zostały Orderem Serca – Matkom Wsi. Podziw i uznanie należą się także najstarszym członkom zespołu – małżeństwu Marii i Ludwikowi Chwedczukom. To właśnie oni mieli największy wpływ na ostateczny kształt scenariusza widowiska, które zaznaczyło Sitnik na mapie kulturalnej kraju. Za społeczną działalność uhonorowani zostali Odznaką Zasłużony Działacz Kultury. Odznakę tę otrzymała również p. Stanisława Pyrka – niezmordowany kierownik zespołu.

Członkinie zespołu z powodzeniem biorą również udział w organizowanym przez Muzeum Okręgowe w Białej Podlaskiej konkursie „Sztuka ludowa południowego Podlasia” – wykonują palmy wielkanocne, pisanki i tkaniny podlaskie.

Największe słowa uznania należą się jednak jego członkom, którzy mimo wyczerpującej pracy na roli, w gospodarstwie domowym i w domu znaleźli czas na pracę w zespole. Ich prawdziwie społeczne zaangażowanie, umiłowanie rodzimego folkloru, tradycji ludowej podlaskiej wsi są godne najwyższego szacunku.

(db)

DZIEŃ, W KTÓRYM SŁOŃCE TAŃCZY

„Oj sobótki,
oj sobótki.
Oj dzień długi,
a noc krótka.”

W wigilię św. Jana „słońce tańczy, jak pogoda, to się przesuwają w jedną, w drugą stronę, podkręca się, rozciąga, gra przed zachodem”. Po takim dniu następuje noc letniego przesilenia, noc świętojańska. W tę noc w Polsce i u innych ludów sąsiednich obchodzono sobótkę. To prastary zwyczaj stanowiący spuściznę dawnych przedchrześcijańskich zbiegowisk młodzieży, w czasie którym zapoznawano się przy wspólnej zabawie, tańcach, muzyce i śpiewach. Zwyczaje świętojańskie obracały się głównie wokół wody i ognia – żywiołów oczyszczających, niszczących i życiodajnych.

W tradycyjnej obrzędowości świętojańskiej spotykamy trzy elementy: ogień sobótkowy, wianki i noc o szczególnej mocy magicznej.

Noc świętojańska, najkrótsza w roku stanowi pewne przeciwstawienie do świąt Bożego Narodzenia. Jest to, według starych wierzeń, noc niebezpieczna, w czasie której złe siły starają się zdobyć władzę dla siebie, a ludzie usiłują im w tym przeszkodzić. W tym celu rozpalano święte ognie, ich blask miał odstraszać czarownice i demony. Dbano więc o to aby ich blask był widoczny z daleka.

Ognie świętojańskie palono się najczęściej nad wodami. Jeżeli wód nie było w pobliżu wioski palono je na wzgórzach, miedzach, polanach. Nie palono w obejściach czy na uprawnych polach. Drewno zbierano u gospodarzy, którzy w tym wypadku nie odmawiali darowania go.

Ogień rozniecały dziewczęta, dawniej zwykle opasane ziołami – bylicą. One też śpiewały pieśni sobótkowe łączące imieniem młodzież w pary. One w pieśniach wysmiewały wady i przywary towarzyszek. Ogień sobótkowy był niezwykły, miał wypalać całe zło, do stosu dokładano suche gałęzie kolczaste, ciernie, pokrzywy, osty i inne rośliny parzące lub kłujące. Czyniono tak dlatego aby odstraszyć złe duchy, nie tylko ogniem, rośliny kłujące bowiem wzmagaly magiczną jego moc. W przygotowanym stosie umieszczano stare miotły, które długo wymiatając śmiecie i brudy, walczyły ze złem.

Młodzież przeskakiwała ogień. Chłopcy niekiedy przerzucali dziewczęta nad ogniskiem. Ciągłe tańczono i śpiewano:

„Oj sobótki,
oj sobótki.
Oj dzień długi,
a noc krótka.”

A to dzisiaj sobótki,
nie dała mi mama nocą spać,
kazała mnie krówki gnać.
Pognała krówki drzemając,
a za nią chłopcy śpiewając.
Och ty Kasieńko, gdzieś była,
że całą nockę nie spała.

Oj była nocka sobótkowa,
ja całą nockę nie spała
i mama zasnąć nie dała,
tylko kazała krówki gnać
i mama mnie nie dała spać,
tylko kazała krówki gnać."

Dawniej kąpiel w rzece przed 24 czerwca uchodziła za niebezpieczną. Mówiono, że dopiero św. Jan Chrzciciel „ochrzci wodę i topielice nie mogły już ludziom szkodzić”. Niewątpliwie wierzenie to można uzasadnić racjonalnie: zwykle jeszcze na początku czerwca woda w rzekach bywa za zimna i kąpiącego się łatwo może chwycić skurcz. Stare przysłowia głoszą: „na św. Jana woda ogrzana”, „już św. Jan ochrzcił wody, umyćcie się dla ochłody”. Dlatego ten dzień był ważny dla rybaków, flisaków i innych ludzi, których praca wiąże się z wodą. Jest to również święto wszystkich dziewcząt, tzw. wianki.

Według legendy, wszystkie dziewczęta kładły na wodę wianki na pamiątkę Wandy, „co nie chciała Niemca”. Wianki miały Wandzie towarzyszyć. Wianki były wite z polnych – chabry i ogrodowych kwiatów. Jeżeli dziewczyna wiała wianki, to jeden z nich był zawsze z pokrzyw lub ostu i przeznaczano go dla tych chłopców, którzy mącili wodę i utrudniali swobodne puszczanie wianków. Wianki okrągłe, niewielkie, o średnicy około 8 cm przywiązywano lnianą nitką do cienkich deseczek, pośrodku których stały świeczki. Obserwowano jak zachowują się na wodzie. Gdy wianek płynął szybko, to oznaczało szybkie wyjście za mąż za kawalera z dalekich stron, gdy kręcił się w kółko to przyszedł mąż będzie pochodził z rodzinnej wsi, gdy zatrzymał się, to zamążpójście stawało pod znakiem zapytania. Zatonięcie wianka oznaczało staropanieństwo.

Z puszczaniem wianków związane były różne zabawy, chłopcy wylawiali je, konkurując ze sobą co do ilości wylawionych wianków. W niektórych regionach Polski znany był zwyczaj zarzucania wianków na drzewa. Wróżono wtedy na podstawie tego, czy wianek zaczepił się na gałęzi czy spadł. Jeżeli spadł, oznaczało to, że dziewczyna jeszcze w tym roku nie wyjdzie za mąż.

Z nocą świętojańską łączy się też legenda o zakwitaniu paproci. Złe duchy przeszkadzają człowiekowi w znalezieniu tego kwiatu. Nikt go nigdy nie widział. A jeżeli widział, nie ośmielił się o tym powiedzieć. Istnieje opowieść o kobiecie, która w noc

świętojańską zerwała mały niebieski kwiatusek, jaki zakwitł na leśnej paproci. Przechowuje go w chacie. Od tamtej nocy kobieta ta uzyskała niezwykłą moc wszechwidzenia i umie leczyć nie tylko ludzi i zwierzęta, ale widzi przyszłość jak na dłoni. Wie także wszystko o ludziach, umie rzucić uroki i odczyniać czary. Stała się czarownicą.

Po baśniowy kwiat paproci, jak wszyscy doskonale wiedzą wyprawiano się do lasów samotnie, w tajemnicy przed innymi. Szukano kwiatu, który dawałby moc, bogactwo, szczęście albo wszystko to jednocześnie. Ten, kto mógł znaleźć cudowny kwiat, powinien być nie tylko odważnym człowiekiem ale i silnym przez cechy charakteru. Że takich ludzi jest niewielu, nikt do tej pory kwiatu nie znalazł. Jeżeli nawet ktoś byłby taki, kto by ten kwiat odnalazł, to musiałby w sobie całe dobro zniszczyć, by moc kwiatu zaczęła mu służyć. Człowiek posiadałby władzę nieczłowieczą, musiałby więc także stać się nieludzki.

W XIX wieku uważano jeszcze, że w noc świętojańską grasało wiele czarownic po wsiach. Aby odpędzić je zakładano w ściany domów i strzechy budynków w wigilię św. Jana gałęzie drzew, topian, bylicę. Do niedawna jeszcze w niektórych wsiach podlaskich łamano gałęzie olszyny i zatykano ją pionowo w strzechę nad drzwiami wejściowymi. Przypisywano „Janowej olszynie” moc uzdrawiającą. Była lekarstwem na różne choroby. Mocząno listki tej olszyny w ciepłej wodzie i przykładano na obolałe miejsca.

Na Podlasiu uważano także, że wigilia św. Jana jest dniem sprzyjającym wzrostowi roślin. Pracowano przy grochu, okopywano w tym dniu kapustę „aby lepiej wiązała się w główki”.

W tym dniu zbierano też zioła. Robiono to zwykle o rosie, przed wschodem słońca. Uważano, że zioła takie są najlepsze i najskuteczniejsze. Zbierano dziurawiec, dziewannę, rumianek, miętę. Zachowały się jeszcze recepty na lekarstwa z tych ziół.

Jako lekarstwo na dolegliwości żołądkowe stosowano suszone „janowe jagody” pochodzące z pierwszego dnia zbiorów. Do tego dnia było to zakazane, a „na świnty Jan jagód dzban”.

W ten niezwykle dzień, w którym było wiele znaków z „tamtego świata” przepowiadano pogodę i tak deszcz w dniu św. Jana wróżył długą słotę utrudniającą sianokosy – „kiedy się św. Jan rozczuli, dopiero go Najświętsza Panna (2 VII) utuli”.

Wszystkie wymienione elementy święta przesilenia dają świadectwo takiego pojmowania świata przez naszych przodków, w którym istniały ściśle zależności między nimi a zaświatami. Dzisiaj coraz mniejszy wpływ na nasze życie mają niezziemskie moce, niech więc chociaż zewnętrzny urok obrzędów świętojańskich nie zostanie zapomniany – oj sobótki, sobótki...

Na podstawie źródeł opracowała

ALICJA MIRONIUK

BOŻE CIAŁO, DOŻYNKI, ANDRZEJKI I INNE WRÓŻBY I WIERZENIA

Wśród katolickiej ludności rolniczej południowej części naszego województwa, duża część obyczajów i wierzeń a także obrzędów przekazywanych z pokolenia na pokolenie, zachowała się jeszcze do dnia dzisiejszego. Zachowały się szczególnie te, które związane są z obchodami świąt kościelnych. Opisywane obrzędy i obyczaje dotyczą głównie okresu pierwszej wojny światowej, okresu międzywojennego i lat okupacji niemieckiej na przykładzie gminy Łomazy, skąd pochodzili także moi rodzice. Wiele opisywanych obrzędów i obyczajów zaobserwowałam właśnie w ich postępowaniu a także u okolicznych rolników. Nie oznacza to jednak, że obyczaje te rozpoczynają się we wspomnianych wyżej okresach. Początków należy dopatrywać się znacznie wcześniej, o czym można chociażby przeczytać w książce Józefa Ignacego Kraszewskiego pt. „Stara baśń”, a obchody świąt katolickich sięgają początków chrześcijaństwa.

Bardzo uroczyste, podobnie jak i dzisiaj, obchodzono np. święto Bożego Ciała. Na zakończenie obchodów, 8-go dnia po wymienionym święcie jest dokonywany i dzisiaj zwyczaj święcenia wianków z różnych liści, kwiatów i gałązeczek. Są to małe wianuszki o średnicy około 6-7 cm, przeważnie z mięty, rumianku, piołunu, macierzanki, lipy, ruty, rozchodnika, bożego drzewka lub jeszcze innych ziół. Używano je następnie do różnych celów:

- jako lecznicza herbata (np. z mięty i piołunu) przy chorobach żołądkowych, gardła i innych schorzeniach wewnętrznych organizmu;
- jako kadzidło do okadzania dzieci od przestachu;
- do leczenia wymion u krów, również w formie kadzidła;
- kładziono pod węgiel budowanego nowego domu;
- kładziono w stodole pod pierwszy zwożony z pola snopek żyta;
- wkładano zmarłemu domownikowi do trumny.

Do celów leczniczych zbierano także te kwiaty, które rzucano księdzu pod nogi w czasie uroczystej procesji. W święto Bożego Ciała zabierano również do domu brzozone gałązki z drzew, którymi przystrajane były cztery uliczne ołtarze. Wtykano je następnie na łąkach i pastwiskach. Miały chronić te grunty przed uszkodzeniem powierzchni przez krety.

Innym, równie ważnym świętem to święto Wniebowzięcia Matki Bożej nazywane potocznie świętem Matki Boskiej Zielnej i obchodzone jest do dzisiaj w jednym i tym samym terminie – 15 sierpnia. W dniu tym zanoszą się do kościoła do poświęcenia na specjalnym nabożeństwie plony ziemi. Zwyczaj przetrwał do dnia dzisiejszego, ale stosuje się go w znacznie mniejszym zakresie.

Święcono wiązanek kłosów wraz z ziarnem różnych uprawianych wówczas zbóż i roślin, a mianowicie: żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia, lnu, konopi. Umieszczano w niej jedną makówkę maku, jedną marchew i czasami jabłko lub cebulę i czosnek. Całą wiązanek przybierano pięknie ogrodowymi kwiatami i niesiono do kościoła. Przy tym każda gospodyni starała się, aby jej wiązanka była jak najpiękniejsza.

Zwyczaj ten, jak wspominał wyżej, stopniowo zanika, chociaż jeszcze sporo kobiet takie wiązanki wykonuje. Niektóre gospodynie nie mają po prostu z czego jej wykonać. Lnu i konopi właściwie już od dawna prawie nie sieje się, na uprawę maku potrzebne zezwolenie urzędu gminy, a zboże wykoszone kombajnem na długo przed opisywanym świętem.

Poświęcona wiązanka służyła później do różnych celów i zwyczajów w gospodarstwie rolnym. Na przykład rozpoczynając siew żyta najpierw wysiewało się ziarno z poświęconej wiązanki. Siano je w rogu pola w formie małego krzyża, na to często układano słomę z wymłóconym kłosem z tej wiązanki, a także w formie krzyża i to wszystko przykrywano płytką warstwą ziemi, aby posiane ziarno mogło wzejść i wydać plon. Dopiero po tych czynnościach dokonywano właściwego siewu żyta. Tak postępowano także w przypadku siania innych zbóż.

Niektóre składniki wiązanki służyły do leczenia chorób np. ziarna lnu, konopi i maku czy też wysuszona z biegiem czasu w wiązance marchew. Zastosowanie tych komponentów jako leków było identyczne z opisami, które i dzisiaj można znaleźć w publikacjach o ziołolecznictwie. Na przykład nasiona lnu odpowiednio przygotowane stosowano przy różnych schorzeniach żołądka i przewodu pokarmowego. Do przygotowania odpowiedniej mikstury było ich jednak w poświęconej wiązance za mało. Dodawano więc nasiona innego lnu. Kwiaty z poświęconej wiązanki, najczęściej wysuszone, wkładano zmarłemu domownikowi pod głowę do trumny.

Wielką wagę przypisywano w opisywanym okresie do żniw. Obowiązkowo rozpoczynano je w sobotę, podobnie jak kopanie ziemniaków. W wielu rodzinach przed przystąpieniem do koszenia żyta kropiono początek łanu święconą wodą. Dzisiaj już tego nie praktykuje się. Rozpoczęcie żniw nazywano żaynkami.

Po zakończeniu koszenia żyta, na ostatnim koszonym łanie wykonywana była wereja. Pozostawiano nie skoszone poletko żyta, jeśli można było to w pobliżu drogi o wymiarach około 1 m². Kłosa załamywano ku dołowi, zawiązywano powroślem i przybierano ogródkowymi kwiatami. Ściernisko wokół wrywano i układano na obrzeżach poletka. Wrywano zielsko, a wewnątrz werei wykonywano w niektórych wsiach na ziemi znak krzyża. Na terenie Piszczaca kłosa żyta podczas robienia werei obcinano i przechowywano w domu do 15-go sierpnia. W dniu tym święcono je w kościele wraz z innymi plonami z danego gospodarstwa.

Wereja to znak, że w tym gospodarstwie zakończono już koszenie żyta. W tym dniu gospodyni przygotowywała w domu bardziej wystawny obiad lub kolację. Młodzież w wielu wsiach po zakończeniu żniw urządzała taneczne zabawy dożynkowe.

Słowo „dożynki” używane było w rozumieniu, że zakończone zostały żniwa w ogóle lub jednego rodzaju zboża. Składania wieńców dożynkowych nie było, ponieważ na tym terenie były tylko gospodarstwa chłopskie.

Podczas robienia werei dochodziło czasami do żartów. Starano się wśród obecnej młodzieży złapać kogoś za nogi i ciągnąć wokół po wypielonym poletku, aby równo je palcami rąk zabronować (zagrabić). Dziś werei już nie spotyka się.

Formy powitania i pożegnania wśród katolickiej ludności rolniczej były dawniej także nieco inne. Gdy ktoś obcy przychodził do domu, na przykład sąsiad, to na powitanie mówił najpierw „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Odpowiadano mu (w zasadzie ktoś najstarszy z rodziny) „Na wieki wieków amen”. Następnie osoba przychodząca mówiła często „Dzień dobry” albo „Dobry wieczór”. Odchodząc zaś mówił „Bądźcie zdrowi”. Odpowiadano „Idźcie z Bogiem”. Zwyczaj podawania rąk przy powitaniu lub pożegnaniu istniał tylko wśród mężczyzn. Gdy przychodził do domu znajomy mężczyzna (sąsiad), to podawał rękę tylko mężczyznom pomijając kobiety i dzieci. Gdy przychodziła do mieszkania kobieta, ręki przy powitaniu i pożegnaniu nie podawała. Gdy do domu przychodził ktoś obcy i zastał np. gospodarza coś robiącego na podwórku, to pozdrawiając mówił „Boże dopomóż do roboty”, „Szczęść Boże” albo „Boże pomagaj”. Odpowiedź brzmiała: „Bóg zapłać za słowo dobre”. Identyczne życzenia wypowiadano, czaje te praktykowane są i dzisiaj, ale rzadziej.

Zupełnie inne zagadnienie to ludowe wróżby. Były i są różne, jak np. gdy ktoś idąc drogą spotkał kogoś pracującego na polu przy drodze. Zwykle Najwięcej wróżenia było w andrzejkowy wieczór, na imieniny Andrzeja 30 listopada. Były wróżby zbiorowe i indywidualne.

1. Panna umieszczała we flakonie z wodą gałązkę wiśni. Gdy zakwitła do Nowego Roku oznaczało to, że w najbliższym roku wyjdzie za mąż.
2. Inna panna ustawiała swoje buty przy ścianie w pokoju naprzeciw drzwi i przestawiała je kolejno obok siebie w kierunku drzwi. Najlepszą wróżką było, gdy wypadło jeden z butów postawić na progu. Oznaczało to także szybkie zamążpójście.
3. Inny sposób wróżenia to w andrzejkowy ciemny wieczór obejmowanie rękami wróżenie z kart czy lanie na wodę roztopionego wosku. Najwięcej wróżyły panny i to na temat zamążpójścia.

Oto niektóre z nich:

Po wigilijnej kolacji panna wychodziła z domu i nasłuchiwała, z której strony zaszczeka pies. Z tej strony przybędzie do niej przyszły mąż.

kami sztachet w płocie. Należało nawet zamknąć oczy, aby nie widzieć ile obejmuje się sztachet. Po objęciu ich, liczono ile ich jest między ramionami panny. Jeśli była liczba parzysta, oznaczało także szybkie zamążpójście. Gdy nie było takiego płotu we własnym gospodarstwie, korzystano z innego w danej wsi.

4. Brano czarną kure i przynoszono do pokoju. Nakrywano ją jakimś dużym naczyniem o nieprzejrzytych ścianach. Naokoło ustawiały się panny. Każda przed sobą na podłogę kładła kilkanaście ziaren zboża. Odkrywano kure. Do czyjego ziarna kura najpierw podeszła i zaczęła jeść, ta pierwsza miała wyjść za mąż.

Wreszcie w innym czasie brano do ręki kwiat z wieloma płatkami lub gałązkę akacji z liśćmi i myśląc o konkretnej osobie obrywano po jednym płatku, mówiąc po jednym słowie na każdy oderwany płatek kwiatu czy listek, a na zakończenie słowa:

„Kocha, lubi, szanuje,
nie chce, nie dba, żartuje,
w myśli, mowie, w sercu,
na ślubnym kobiercu”.

Były także i inne wierzenia, a jedno z nich dotyczy łasicy. Ten drobny ssak żyje w gospodarstwach rolnych. Otóż wierzono, że najpomyślniej jest hodować w gospodarstwie takiej maści bydło, jakiego koloru są w tym gospodarstwie łasice.

Wierzono także, że najpomyślniejszy będzie dzień, gdy się stanie rano na podłogę prawą nogą albo, gdy zobaczy się rano pierwszego mężczyznę nie należącego do rodziny. Cały miesiąc będzie bardziej pomyślny, gdy księżyc w fazie nowiu zobaczy się po raz pierwszy będąc zwróconym do niego prawą stroną ciała, a jeszcze lepiej, gdy na wprost.

Z różnych także oznak na niebie i ziemi wróźono pogodę. Prognozy te ustalano na dzień lub dwa, a także na okresy dłuższe. Przewidywano nawet jaka będzie zima lub lato, czy będzie rok obfity w grzyby, czy będzie urodzaj na polach. Czasami przewidywania te sprawdzały się. Podobnie zresztą i dzisiaj słyszymy prognozy pogodowe ustalone przez powołane do tego służby i przy pomocy różnego rodzaju urządzeń i także nie zawsze się sprawdzają.

Wróźono także na podstawie zachowania się domowych zwierząt. Zły to był znak, gdy wyle psy albo gdy słyhać było wieczorem w pobliżu głos sowy.

Wśród wielu obrzędów i zwyczajów nie znany był i nie praktykowany na opisywanym terenie zwyczaj topienia marzanny. Nie było też żadnych załam w noc świętojańską ani puszczania na wodę wianków.

Wacław Szudejko

prezentacje

KAZIMIERZ NEKANDA-TREPKA – DWIE PASJE ŻYCIA

Przez całe niemal życie, owocne pomocą dla cierpiącego człowieka, ale i bogate w doznania twórcze, Kazimierz Nekanda-Trepka („Kresowiak” jak sam o sobie mówił, chociaż urodził się w Warszawie...) dzieli czas między poradnie, przychodnie, oddziały szpitalne, sanatoria, konsultacje i dom. Z jednej strony pacjenci a z drugiej farby akwarelowe, płytki linoleum czy klocek gruszy.

Kazimierz Nekanda-Trepka, lekarz medycyny (fityzjatra), malarz i grafik, urodził się 25 grudnia 1918 roku w Warszawie. Szkołę średnią ukończył w roku 1936 w Wilnie. W mieście tym podjął także studia wyższe na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Stefana Batorego. W roku 1939 na skutek zamknięcia Uniwersytetu przez władze radzieckie przerywa studia. Przenosi się do

Kowna, aby tam kontynuować studia medyczne na Uniwersytecie Witolda Wielkiego.

Po opuszczeniu przez Neimców Wilna (1944 r.) kontynuuje studia medyczne w Wilnie zapisując się jednocześnie na I rok studiów w nowo powstałym Litewskim Instytucie Sztuki. Dyplom lekarza medycyny uzyskuje już po wojnie, w Krakowie, w roku 1950. Wcześniej jednak, bo już w roku 1946 podejmuje pracę zawodową w Sanatorium Przeciwgruźliczym w Zespole Sanatoriów w Kowarach. Przez szereg kolejnych lat pracuje w sanatoriach przeciwgruźliczych na Dolnym Śląsku. Organizuje wtedy wiele akcji kulturalnych z zakresu plastyki. Szeroko propaguje *ex libris*.

Kazimierz Nekanda-Trepka był także asystentem w Klinice Gruźlicy Płuc Akademii Medycznej we Wrocławiu.

W roku 1957, po uzyskaniu II-go stopnia specjalizacji, z zakresu ftyzjatrii, zostaje ordynatorem Oddziału Przeciwgruźliczego w sanatorium w Bukowcu. Tam spotyka wybitnego, polskiego grafika — Józefa Gielniaka, który jest jego pacjentem a później także współpracownikiem.



Wiktor Dziulikowski
OP. 111, 1973, × 2



Elżbieta i Ziemowit Kowiescy,
OP. 186, 1987, × 3

W roku 1961 przenosi się do Białej Podlaskiej, gdzie do czasu przejścia na emeryturę pełni szereg odpowiedzialnych funkcji jako lekarz-ftyzjatra. Organizuje Poradnię Przeciwgruźliczą. W roku 1965 powołany zostaje na stanowisko Wojewódzkiego Specjalisty Chorób Płuc i Gruźlicy. Mimo nie najlepszego zdrowia nie rozstaje się z pacjentami, jako lekarz poradni przeciwgruźliczych, nie rozstaje się także ze szkicownikami, który nazywa

„Antyporadnią” i z płytką linoleum, na której kształtuje swoje światy.

To wszystko, co wiąże się z jego pasją twórczą, przenosi najpierw do swojej „Antyporadni”. Zapisał i zarysował tych „Antyporadni” wiele. Były to najzwyczajniejsze zeszyty, kupione w sklepie papierniczym, w których robił szkice, notował pomysły, zapisywał ważniejsze zdarzenia plastyczne.



Zbigniew Józwiak
OP. 75, 1969, X 3

Jest więc poradnia, w której stawiał diagnozy chorym na gruźlicę, wypisywał skierowania i recepty, udzielał konsultacji i jest „Antyporadnią”, w której zmagał się z rozwiązaniami warsztatowymi grafika, wnikał w światy malarza-akwarelisty... Codzienne doznania, codzienne decyzje, codzienne zmagania... Jak ulżyć cierpiącym, to znów jak rozwiązać pomysł graficzny?

Kiedy przeglądałem jeden z zeszytów „Antyporadni” ze szkicami i zapiskami z roku 1981, to wydawało mi się jakby wyra-
stały na nowo obrazy z nie tak odległych dni, jakże ważnych

dla naszego narodu. Jest i pamiętna data 13 grudnia 1981 roku... Jest i nowy rozdział w życiu artysty-lekarza, rok 1982 – emerytura... Tyle rozmaitych faktów, dziesiątki, setki szkiców. Wiele z tych pomysłów zrealizował w kolejnych ekslibrisach dla przyjaciół, rodziny. Ekslibrisów niespodzianek i tych na zamówienie. Jak w barwnym korowodzie wędrują ci, dla których Kazimierz Nekanda-Trepka wykonał ekslibrisy: bibliotekarze i naukowcy, artyści i lekarze, wojskowi i urzędnicy.



Julian Strykowski
OP. 187, 1988, X 3
skończony po śmierci
przez Janusza N-T. seniora

W tym niecodziennym szkicowniku znajdują się także projekty ekslibrisów dla Muzeum na Majdanku – dawnym obozie koncentracyjnym. Obok tych projektów znalazłem taką oto notatkę artysty: „...w mojej interpretacji ekslibrisów Majdanka, choć mają one właśnie charakter pomników figuralnych, ludzi nie ma, są jedynie puste miejsca po ludziach, których zagubiły się i nazwiska i ich indywidualne sylwetki i życiorysy. Niektórzy z nich mogli nie mieć nawet specjalnych zasług, ale dotyczy to ich wszystkich i pomnik mają wspólny, jak wspólny mieli los – uczestnictwo w ofierze życia”.

Jakże słuszne spostrzeżenie, które artysta realizuje w dwóch znakach książkowych dla Muzeum na Majdanku. Jeden z nich zamieszczony został w wydawnictwie poświęconym ofiarom Maj-

danka (Majdanek w ekslibrisie i poezji. Lublin, 1984).

Kazimierz Nekanda-Trepka wzrastał w atmosferze szczególnego umiłowania sztuk plastycznych. Ojciec jego zajmował się amatorsko malarstwem, tworząc uroczne akwarele. Wykonywał także plakaty, kopiował prace wybitnych artystów. W pierwszym okresie twórczości, Kazimierz Nekanda-Trepka wykonywał wiele prac, naśladując ojca, który imponował swoimi umiejętnościami, zarówno jemu jak i jego braciom. Wtedy to powstały pierwsze bruliony ze szkicami. Były to prototypy obecnych „Antypradni”.

Mimo niewątpliwych zdolności plastycznych, decyduje się jednak zostać lekarzem. To daje konkretne środki do utrzymania rodziny. Zawód ten, dając mu środki finansowe pozwalał na swobodę uprawiania twórczości plastycznej, pozwalał również na pewną wolność artystyczną, czystość i radość tworzenia.

Pierwszy ekslibris tnie w klocku z gruszy już w roku 1936, ale bliżej zajął się tą małą formą graficzną w roku 1957, kiedy to spotyka Józefa Gielniaka, wybitnego polskiego grafika, który wyniósł linoryt na wyżyny światowe. Okres współpracy z Gielniakiem, to jakby nowy etap twórczości Nekanda-Trepki. Udziela się szeroko w życiu plastycznym Dolnego Śląska, bierze udział w szeregu wystaw, wykonuje plakaty i okolicznościowe druki, ilustruje czasopisma.

Ekslibris jest dla niego ukoronowaniem działalności plastycznej. Powstają interesujące znaki, cięte głównie w linoleum. Prace te wykonuje narzędziami chirurgicznymi. Nie zmienia po latach narzędzi, pozostaje wierny skalpelowi.

Zmiana miejsca zamieszkania i nowe kontakty. Lubelszczyzna z miastem Biała Podlaska. Nawiązuje kontakty z grafikami i kolekcjonerami. Prac z każdym rokiem przybywa. W Kielcach otwiera swoją pierwszą wystawę indywidualną. Bierze udział w Międzynarodowym Biennale Współczesnego Ekslibrisu w Malborku, w przeglądach współczesnego ekslibrisu polskiego. Uczestniczy w kolejnych wystawach Biennale Współczesnego Ekslibrisu Lubelskiego. W „Ex libris-Revue”, czasopiśmie duńskim wydawanym przez Klause Rodel'a, ukazuje się ocena jego twórczości z wieloma reprodukcjami ekslibrisów (Ex libris-Revue. 1975, vol. 1-3.).

Tworzy jednak z przerwami – dokucza mu ciężka choroba, której nabawił się jeszcze w roku 1939.

W roku 1987 otwiera kolejną wystawę indywidualną w Białej Podlaskiej. Na wystawie tej prezentuje blisko 150 ekslibrisów i wiele grafik. Wprawdzie sam artysta bardzo krytycznie odnosi się do swojej twórczości, także i ekslibrisowej, nazywając wykonywanie znaków książkowych „...zabawą w rozwiązywanie zadania, polegającego na doborze treści, to jest tematyki znaku do znanych mi elementów kształtujących sylwetkę adresata znaku, jego osobowości, zainteresowań, jego zawodu, środowiska itp. oraz zbudowania znaku graficznego z poszczególnych członów

kompozycji, a w końcu na realizacji projektu w warunkach zwalczania oporu stawianego przez materiał, przy ograniczonych możliwościach narzędzia", to jednak nie mogę się całkowicie zgodzić z autorem tych słów. To wszystko prawda co pisze Nekanda-Trepka, ale aby powstał ekslibris, aby powstała grafika i aby można było prace te zaliczyć do sfery „sztuka”, wykonujący te prace musi być artystą. Kazimierz Nekanda-Trepka niewątpliwie artystą był.



Marek Stróżyński
OP. 21, 1961, × 3

Naznaczony piętnem poszukiwań twórczych, wrażliwy na wszystko co wokół niego, włączony w skomplikowany mechanizm życia, z potrzeby wewnętrznej kształtował piękno. Budował swoje światy, może niekiedy lepsze, bo na takie czekał odbiorca.

Wśród blisko 200 wykonanych przez artystę ekslibrisów, można wydzielić grupę znaków z motywami architektonicznymi. W pracach tych, adresowanych do konkretnego odbiorcy, przywołuje fragmenty ukochanego Wilna, starego Krakowa, Lublina i Wrocławia. To zwarta tematycznie grupa znaków książkowych. Inną grupę tworzą ekslibrisy z motywem – kobieta. Są też znaki ze scenkami rodzajowymi, spotkania z przyrodą, świętki przy-

magat od siebie i innych Karol Lipiński, a przecież nie licząc wskazówek Spohra i Paganiniego (w wyniku jakże sporadycznych kontaktów) był, po prostu autodydakta.

Artysta związany był z lubelszczyzną. Przyszedł na świat w Radziniu, najprawdopodobniej 30 października 1790 roku. Tu w majątku Potockich, ojciec kompozytora Feliks zatrudniony był na stanowisku kapeli instrumentalnej i nauczyciela.

Był to dobry okres w życiu rodziny Lipińskich. Dwór książe patronował wszelkim działaniom artystycznym, nie szczędzono na cele edukacyjne. W pałacu odbywały się koncerty, bale, wieczornice. Potoccy utrzymywali sztab nauczycieli różnych specjalności.

Dzieci państwa Lipińskich rozwijały się bez kompleksu prowincji i „niskiego urodzenia”, dom rozbrzmiewał muzyką, uczono się także języków obcych, poznawano literaturę, malarstwo. 8-letni Karol wykonywał z dużym powodzeniem nietatwe koncerty skrzypcowe Pleyela i Jarnovicka, podejmując niekiedy próby wspólnych koncertów z ojcem i muzykami kapeli dworskiej.

Kres sielanki nastąpił już niestety w 1799 roku, kiedy to władzę nad majątkiem objęła Anna z Zamojskich Sapieżyna. Dwór zamarł, a Lipińscy wyjechali do Lwowa.

Ze stolicą Galicji Wschodniej związali się Lipińscy na wiele lat. Lwów był wówczas prężnym ośrodkiem życia muzycznego; dla utalentowanego chłopca artystyczną szansą. Wkrótce w życiu Karola pojawił się austriacki wiołonczelista i kompozytor Ferdynand Kremes, wraz z nim cały bogaty świat muzyki kameralnej i... pierwsze próby kompozytorskie. Przed rokiem 1810 powstały trzy symfonie – pasowanie na kompozytora stało się faktem. W niedługim czasie młody Karol Lipiński otrzymał posadę muzyka osiemnastuosobowej kapeli teatralnej i rozpoczął w pełni świadome, samodzielne życie zawodowe. Kapelmistrzem zespołu był Józef Elsner przysły dyrektor konserwatorium warszawskiego i nauczyciel Chopina, dyrektorem lwowskiego teatru natomiast – Jan Nepomucen Kamiński, reżyser i dramaturg, autor libretta, „Nowych Krakowiaków”.

Lipiński pisał muzykę do wystawianych w teatrze wodewilów. Już wówczas widoczna była jej narodowa odrębność, dyskretna emocjonalność i sprawność warsztatowa. Po dwóch latach pracy na stanowisku koncertmistrza Karol Lipiński został dyrektorem orkiestry. Miejsce pierwszego skrzypka objął lublinianin, Stanisław Serwaczyński (przysły nauczyciel Henryka Wieniawskiego) Lipiński, podobnie jak później Jan Strauss, dyrygował ze skrzypcami w rękę. Tym instrumentem posługiwał się także w pracy korepetytorskiej z chórem i solistami – był to początek doświadczeń z techniką podwójnych dźwięków i akordów, załączek swoistej, indywidualnej techniki.

W roku 1812 Lipiński po raz pierwszy pojawił się w Warszawie. W stolicy zetknął się ze środowiskiem twórczym reprezentowanym przez Karola Kurpińskiego, Józefa Elsnera, Franciszka Lessela, Marię Szymanowską.

Wydarzeniem w życiu artysty było spotkanie z wybitnym skrzypkiem austriackim Louisem Spohrem. Miało to miejsce w Wiedniu, w okresie trwania kongresu. Z kilku spotkań wynikło szereg decyzji, wśród nich o zasadniczym znaczeniu: Karol Lipiński postanowił zostać solistą, skrzypkiem koncertującym. Po powrocie do Lwowa zwołał się z pracy w teatrze. Przez dwa lata doskonalił swoją technikę i intensywnie przygotowywał się do występów estradowych. Kiedy 30 października 1817 roku, zaopatrzone w listy polecające Spohra, wyruszył na Węgry i do Włoch, był świadom swej artystycznej siły i możliwości. W Padwie spotkał Paganiniego. Fakt ten został szczegółowo opisany w 1873 roku w „Tygodniku Wielkopolskim Naukowym, Literackim i Artystycznym” nr 27. Lipiński pokazał Włochowi swoje „Trzy kaprysy” op. 10, które później zresztą mu zadedykował. Jak podają biografowie Paganiniego obaj artyści „spędzili dużo przyjemnych godzin, grając utwory na dwoje skrzypiec, a kiedy im brakowało odpowiednich kompozycji sami improwizowali duety”. 17 kwietnia 1818 roku w Piacenzy obaj wirtuozi wystąpili publicznie grając „Koncert na dwoje skrzypiec i orkiestrę” Kreuzera. Na życzenie Pa-

ganiniego nazwisko Polaka na afiszach ozdobiono drobnym naddatkiem: „Valente Professor di Violone Sig. Carlo Lipiński, Polacco”. Paganini wiedział jak się robi karierę!

Karol Lipiński powrócił do Lwowa z wieńcem laurowym. Sukces był faktem. W lutym 1821 roku wyruszył do Berlina, w rok później do Kijowa i dalej. Występował z Marią Szymanowską, poznawał wybitnych ludzi Jacquesa Mazasa, Roberta Schumanna, Bogdana Zalewskiego, Juliana Ursyna Niemcewicza, Fryderyka Chopina i Adama Mickiewicza .

W maju 1829 roku w Warszawie spotkał się ponownie z Nicolo Paganinim. Było to podczas wykonania „Mszy” Elsnera pod batutą Kurpińskiego. Przy pierwszym pulpicie zasiedli Lipiński i Paganini. Bezpośrednie koncerty solowe wybitnych skrzypków stały się sensacją kulturalną środowiska i tak zaczęła się legenda o „polskim Paganinim”.

Lipiński miał blisko 50 lat, gdy objął funkcję koncertmistrza kapeli królewskiej w Dreźnie. Przed wyjazdem na stałe artysta odbył jeszcze podróż koncertową po Rosji, grając m.in. w Kijowie, Mińsku, Moskwie, Petersburgu i Rydze.

W Dreźnie Lipiński dał się poznać jako zwolennik nowej muzyki – popierał gorąco dzieła rozpoczynającego artystyczną działalność Hectora Berlioz – dobry organizator, człowiek ogólnie życzliwy i pomocny. Po dwudziestu latach pracy, przechodząc na emeryturę otrzymał od króla w dowód „szczególnego wyróżnienia i najwyższego uznania pensję w wysokości 1000 talarów”. Ostatnie miesiące życia Karol Lipiński spędził w Urlowie, majątku syna Gustawa. Próbował realizować swoje marzenie o chłopskiej szkole muzycznej. Odszedł nagle, w wyniku ostrego ataku astmy 16 grudnia 1861 r.

Twórczość kompozytorska Karola Lipińskiego, mimo wielkiej sławy i uznania jej autora, pozostała... na półkach. 30 opusów, kaprysy, koncerty, cykle wariacji będących sumą doświadczeń bogatego życia artysty praktykującego nie znalazło społecznego rezonansu, należytego zainteresowania i zrozumienia. Jak stwierdził niegdyś znany skrzypek francuski Pierre Baillot: „Trzeba mieć diabła w sobie, żeby grać te rzeczy publicznie”. Czy jest to prawda obiektywna”?

Dzieło Lipińskiego, podobnie jak Wieniawskiego czy Paganiniego jest wyrazem tendencji stylistycznej epoki wirtuozów. Stanowi wykładnię wiedzy warsztatowej w najszerszym, instrumentalnym rozumieniu tego zjawiska. Przy tym, jak na dobę romantyzmu przystało jest to muzyka czerpiąca swoją żywotność z twórczości ludowej, a więc bardzo polska w charakterze, klimacie emocjonalnym. Jest ona wreszcie także i najbardziej wiarygodnym źródłem informacji o Lipińskim, skrzypku i muzyku, Polaku i artyście. A więc? Nim wyprzedzą nas wykonawcy europejscy stale poszukujący nowych zadań, artystycznych podhiet, czy nie powinniśmy spróbować wprowadzić dzieło Karola Lipińskiego na estrady, najpierw polskie, później światowe? Niech nam pomoże świadomość, iż Karol Lipiński i jego dzieło stanowią kolejne ogniwo w rozwoju polskiej szkoły wiolinistycznej, szkoły, której początek dał wielki skromny artysta Feliks Janiewicz.

**„Niech wsze ludy znają, iż Polacy
nie gęsi i swój język mają”.**

I go szanują!

Teresa KSIĘSKA-FALGER

plastyka

UPOWSZECHNIANIE PLASTYKI W GOK ULAN

ODŚWIEŻANIE STARYCH FORM

... To autoironiczne hasło ma na celu sugestię, że ciągle można to samo ale cokolwiek inaczej. Koncepcje, koncepcje, koncepcje! A wszystko jest związane z pieniądzem... a skoro mało pieniędzy to trzeba odświeżyć!

Przed wszystkim, należy zdać sobie sprawę iż działalność plastyczna jest niejako przypisana do człowieka. Stąd bazygroty na ścianie przy naszym dzieciennym łóżeczku, stąd rysunki kredą na asfaltach i płotach, stąd lustrzane obramowania otworów okiennych (naszych!) domów, stąd rysunki na ciele, gdy artysta trafi do takiego instytutu sztuki skąd rzeczywistość jest oglądana przez raster. Nie należy więc zakładać, że wszyscy powinni poddawać się edukacji plastycznej, niezależnie od tego czy ci „wszyscy” są dorosłymi czy dziećmi.

Upowszecznianie plastyki to prawdopodobnie stworzenie jakiegoś klimatu i warunków od których będzie zależała liczba sympatyków pracowni. Później zabawa kolorem, formą, linią, wyobraźnią wreszcie. Forma tej zabawy zależy zarówno od możliwości finansowych placówki jak i od poglądów estetycznych instruktora. One zależą znowu od tego co my możemy mieć jako źródło samokształcenia – pewnie filmy, wydawnictwa. Jest to jednak lizanie lizaka przez szybę. Najlepszy jest żywy kontakt ze sztuką, jednak nie często jest i będzie możliwy.

Nasz GOK nie ma dużych możliwości upowszechniania plastyki. Działalność wystawiennicza nie jest systematycznie prowadzona z wielu względów. Nie ma możliwości finansowych aby do wystawy nakłonić profesjonalnego twórcę, wydać katalog, z należnymi honorami otworzyć wystawę. Każda nasza impreza kulturalna jest połączona z propozycją plastyczną, wystrojem wnętrza na tę okazję, zaproszeniem, działaniem obliczonym na zaskoczenie.

Najwięcej możliwości stwarza działanie z dziećmi i dla dzieci. Przy naszej placówce działa Klub Nauczyciela Plastyki, który zrzesza nauczycieli uczących plastyki w szkołach podstawowych naszej gminy. Wyznaczamy sobie spotkania w każdym kwartale i rozmawiamy o warsztacie, technikach, zagadnieniach z programu nauczania plastyki. Do udziału w spotkaniach klubu zapraszamy profesjonalistów. Okazją do wymiany doświadczeń są przeglądy plastyczne i konkursy o różnych hasłach. Najlepsze prace są ekspozowane na wystawach pokonkursowych i przechowywane w pracowni w celach dydaktycznych. Niektóre z nich są oprawione i zdobią wnętrza placówki.

Dzieci mają do wyboru klub komputerowy i zespół plastyczny – selekcja dokonuje się samoistnie. Działanie naszego zespołu plastycznego oparte jest na różnych propozycjach. Sprowadza się do technik malarskich, graficznych i małych form rzeźbiarskich. Robimy też działania inspirowane tekstami literackimi. Plastyka to nic innego jak opowiadanie treści o otaczającym nas świecie środkami plastycznymi

Oto kilka naszych propozycji pracy z zespołem.

1. Film o dziwnych dłoniach.

Grupa dzieci bawi się cieniami swoich dłoni. Odczytujemy wspólnie treści uzyskane przez różne układy cieni. Po kilku minutach zabawy dzieci rzutują cienie swoich dłoni na wcześniej przygotowany ekran-kadr filmowy. Ta część działania jest sterowana przez instruktora w celu przekazania dzieciom podstawowych wiadomości o animacji. W następnym etapie zajęć dzieci rzutują cienie na kartonach odrysowując je. Powstałe, przenikające się układy płaszczyzn wypełniają kolorem, w ten sposób powstają obrazy fantastycznej rzeczywistości. Na wyschniętych pracach odbijamy przez szablon kadr filmowy. Następnie wspólnie szukamy zależności kolorystycznych i treściowych – montujemy nasz film. Sklejamy poszczególne „kadry”. Po dokładnym obejrzeniu filmu dzieci zastanawiają się nad jego tytułem. Wybieramy najciekawszą propozycję i wykonujemy czołówkę. Gotowy film prezentujemy w plenerze.

2. Film „Przygody Lisa Witalisa”.

Odczytujemy w grupie dzieci „Przygody Lisa Witalisa” J. Brzechwy. Omawiamy poszczególne zdarzenia. Następnie dzieci odgrywają je w żywym planie, zwracając uwagę na charakterystyczne ruchy granych przez siebie zwierząt. Po zabawie teatralnej każde dziecko wybiera inną sytuację i wykonuje obmyślaną wizję tuszem na kartonie. Po zakończonej pracy (podobnie jak w zadaniu poprzednim) odbijamy na każdym rysunku kadr filmowy. Montujemy poszczególne kadry zachowując następstwo zdarzeń zgodnie z tekstem Brzechwy. Wykonujemy także czołówkę naszego filmu i napisy na każdym kadrze. Sklejony taśmą film można wykorzystać w pracy biblioteki.

3. Oswajanie lwa.

Działania wokół wiersza Hanny Januszewskiej „Lwy” możemy rozwijać wprowadzając różne elementy poznawcze. Oto jedna z propozycji jego opracowania:

„Lwy”

Gdy jestem taki jak dziś – zły,
że pięści aż zaciskam,
to chciałbym, wiecie, spotkać lwy,
lwy o drapieżnych pyskach.

Wyszedłbym z domu. Zatrasnął drzwi
nie mówiąc ani słowa.

Poszedłbym drogą, a obok – lwy
szłyby zielskami w rowach.

Skradałyby się, kładły na płask,
Warczały, pełzły na brzuchach,
a ja bym widział ich złoty blask,
ich złote grzywy w łopuchach.

Tak byśmy drogą, polami szli,
one bokami, ja środkiem,
tacy zjeżeni, warczący, żli
przez koniczyny, tymotki.

Szlibyśmy miedzą suchą wśród zbóż
i groblą, ścieżką mokrą,
aż do wieczora, gdy słońce już
chyli się za widnokrąg.

A wtedy – lwy te, jak złoty błysk,
w niebo by wdarły się w skoku.
I każdy ległby wspierając pysk
na złotym, zachodnim obłoku.

Wolno ze słońcem znikłyby
i nagle: cisza, spokój.

I ja bym nagle przestał być zły
w tym wielkim spokoju, w tym mroku.
Wróciłbym prędko: raz-dwa-trzy.

A mama: – To ty! Wreszcie!

Niepokoily mnie te lwy,

Ale nareszcie jesteś!

A ja: – Skąd, mamo, o lwach wiesz?

A mama: Bo i ja

czasem zła jestem. No i też

chcę wtedy spotkać lwa.

W pierwszym etapie stawiamy dzieciom zadanie – gromadzimy materiały o lwach (mogą to być fotografie, opisy, rysunki, utwory literackie). Wiedzę zdobytą podczas zbierania materiałów dzieci wykorzystują malując na papierze pakowym lwa w całej okazałości dostojności i grozy. Prace odkładamy do wyschnięcia, odczytujemy wiersz Januszewskiej „Lwy”. Po wysłuchaniu utworu dzieci starają się odczytać symbolikę lwów w nim użytych, przytaczają sytuacje w jakich symboliczne lwy można spotkać. Obmyślamy wspólnie metody oswojenia swoich lwów. Dzieci wracają do swoich prac i domalowują elementy, które zmieniają groźne bestie w potulne kociaki. Każde dziecko opowiada o swoim oswojonym lwie. Działanie można przeprowadzić w plenerze zastępując papier rysunkiem na piasku czy asfalcie.

5. Portret mojego diablika

Działanie to powinno następować po zadaniu poprzednim, ponieważ zbliżone są ich cele wychowawcze. Zadanie polega na tym, że każde dziecko stara się opowiedzieć o swoim diabliku, który podpowiada mu różne bezmyślne psoty i figle. Treści te są konkretyzowane w formie plastycznej na dużych papierach pakowych techniką malarską. Po skończonej pracy dzieci odkładają swoje obrazy do wyschnięcia i obmyślają zaklęcia jakimi będą portrety swoich diablików zaklinały. Wyschnięte portrety dzieci wynoszą w plener, zawieszają na drzewach. W chwili gdy przyjdą widzowie rozpalamy małe ogniska, dzieci palą swoje diabły, używając zaklęć. Robimy z tej okazji dokumentację fotograficzną.

S. Żyłka

ANDRZEJ SZCZEBICKI – MALARSTWO

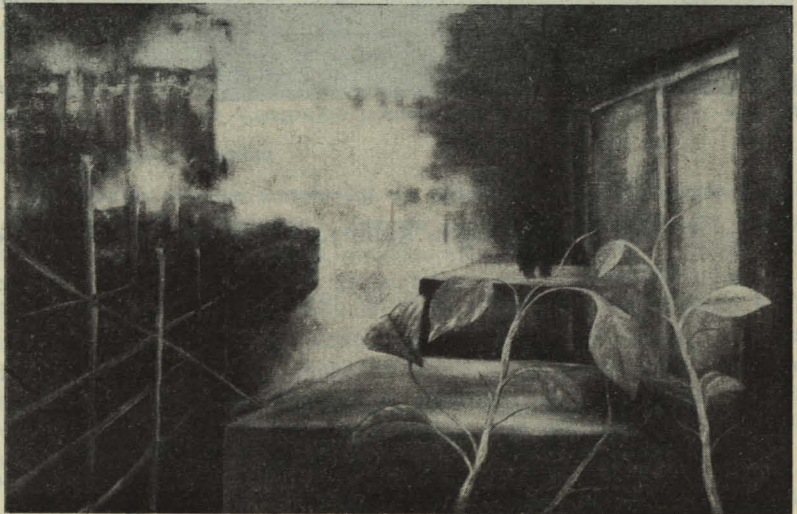
ANDRZEJ SZCZEBICKI – ur. 1956 r. w Międzyrzecu Podlaskim
W roku 1977 ukończył Policealne Studium Reklamy w Mińsku Mazowieckim. Od 1981 instruktor plastyk kat. I w MOK Międzyrzec Podlaski.

Udział w ważniejszych wystawach:

1980 – Międzyrzec Podlaski Klub Międzyspółdzielniany.
Indywidualna malarstwa, grafiki, rysunku.

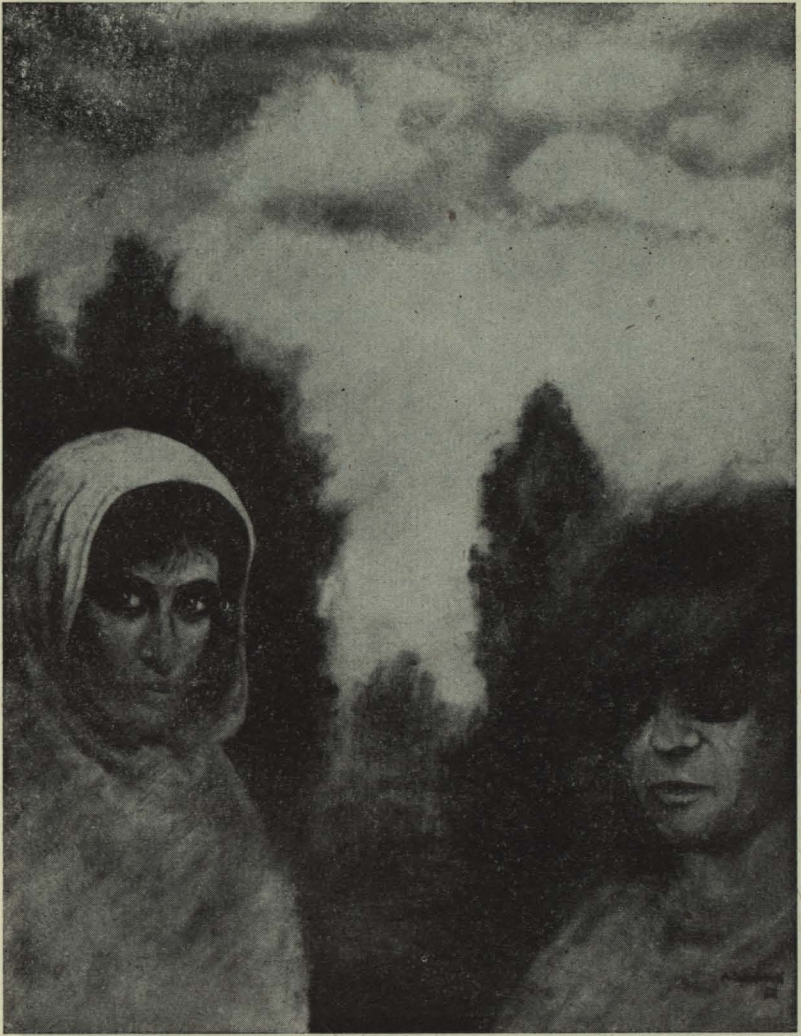


- 1983 – Łosice. Łosicki Dom Kultury. Indywidualna malarstwa i rysunku.
- 1987 – Międzyrzec Podl. Galeria „ES”. Indywidualna malarstwa.
- 1988 – Łódź. Centrum Kultury Młodych. Pokonkursowa „Człowiek i jego czas” (wyróżnienie)
- Elbląg. ZDK „ZAMECH”. Indywidualna malarstwa.
 - Rzeszów. WDK i BWA. IV Ogólnopolska Wystawa Prac Instruktorów Plastyki.



MAN POWER





mam pomysły

SCENARIUSZ OPARTY NA TEKSTACH IRAŃSKIEJ POETKI FORUGH FARROCHZAD

„OKNO”

Wykonawca: jedna osoba

(na scenie zawieszona przestrzennie biała rama imitująca okno, zasłonięte białą poroździeraną w kilku miejscach gazą, po jednej stronie ramy – krzesło białe, po drugiej stronie – krzesło czarne)

Aktorka siedzi tyłem do widowni na czarnym krześle, na tle białej ramy okna

Tekst mówiony tyłem do widza:

Jest taki zaułek
w którym chłopcy zakochani we mnie
wciąż mają jeszcze

Kędzierzawe czupryny szczupłe barki i chude nogi

i myślą że dziewczynkę

która śmiała się tak szczerze

pewnej nocy porwał wiatr

Jest taki zaułek który serce ukradło

z kraju lat dzieciennych...

Bose dzieci z kamieniami w dłoniach

uganiały się za bezpieczeństwa psami

kobieta zaśmiała się za ogrodzeniem

wiatr zatrzasnął gdzieś okiennice

Jakieś drzwi otwierały się cicho

jakieś ręce mnie przywołały

łza stoczyła się z chmurnych oczu

jakieś ręce mnie odpędziły

Pytam spojrzeniem badawczym

– Czy odnajdę jeszcze synka ślady –

lecz pokój był pusty i cichy

bez dziecięcego rozgwaru

Oparłam się o milczącą ścianę

zapytałam cicho – To ty Kami?

ale z przeszłości tak gorzkiej

został tylko dźwięk jego imienia

Aktorka przechodzi za ramę staje przodem do widowni ukryta za białą „Firanką”.

Nie pragnęłam nigdy
być gwiazdą na nieba mirażach

nie pragnęłam nigdy

niczym duch wybrany

z aniołami snuć się w sferach ciszy

nie oderwałam się od ziemi nigdy

i nie poznałam gwiazd

lecz na ziemi jak trawa
chłonełam słońce wodę i wiatr
ażebym żyć
Brzemienna chęcią
bólom brzemienna
na ziemi trwam
by dla mnie gwiazdy świeciły
i pieśczętą darzył mnie wiatr
Na świat przez małe okno patrzę
Jedno okno do patrzenia
jedno okno do słuchania
okno otwarte na bezmiar przychylnego błękitu
okno docierające do serca ziemi
jak pierścienie studni
okno napelniające nocą
samotne małe dłonie
radością daru
pachnących dobrych gwiazd
okno z którego można zaprosić słońce
do wędrówki po kwiatach geranium
takie okno mi wystarczy
Przybywam z krainy lalek
spod cienia drzew papierowych
w ogrodzie ilustrowanej książki
z pory jałowej prób przyjaźni i miłości
w zaułkach lat bezgrzesznych
z lat dorastania do wątlých liter alfabetu
z chwili kiedy dzieci mogły napisać
na tablicy „kamień”
i ze starego drzewa
odleciały wystraszone szpaki
Przybywam spośród mięsożernych korzeni traw
lecz w mózgu moim brzmiały jeszcze
przeraźliwe głosy motyli
ukrzyżowanych na szpilce w zeszycie szkolnym
Na muzyce bez tekstu aktorka odsuwa firanę
mówi stojąc — po muzyce:
Można rozsunąć
ręką zdrętwiałą fałdy firanki
zobaczyć z okna
że na ulicy deszcz się rozpadał
że dzieciak mały z latawcem barwnym
skrył się we wnęce
A można także stanąć przy oknie
i nic nie widzieć i nic nie słyszeć
I można głosem twardym fałszywym
aż przenikliwie nieswoim głosem
zawołać — kocham —
I można w męskich silnych ramionach
wciąż być samicą piękną dorodną
o piersiach bujnych krągłych i jędrnych
i skórze miękkiej
i można zniszczyć można upodlić
miłość i czułość
z wykolejeńcem
Jedno okno mi wystarczy
jedno okno do patrzenia rozmowy milczenia

Powiedz mi
czy ten kto miłościwie
ofiarował ci żyjące ciało
chce czegoś więcej od ciebie
nad świadomość życia
Mów do mnie
ja w chroniącym zagłębieniu okna
mam kontakt ze słońcem

Muzyka – aktorka siada na białym krześle, mówi tekst przodem do widza na muzyce:

Przeminął czas przeminął czas
i cztery razy wybił zegar
i cztery razy wybił zegar
W zaułkach szaleje wiatr
pod namokłymi drzewami idzie człowiek
sine nabrzmiałe żyły jak martwe węże
oplatają jego szyję
– witaj
– witaj
w zaułkach szaleje wiatr
Przeminął czas przeminął czas
Zmierzch wznosi ku oknu głowę z nagich konarów akacji
i językiem wyziębłym pochłania okrucy gasnącego dnia

Koniec muzyki, aktorka zaszuwa na oknie czarną gazę imitującą firankę
mówi tekst – stojąc za zasłoniętym oknem.

Jak miły byłeś mój drogi jedyny
jak miły byłeś gdy okłamywałeś
kiedy powieki luster zamykałeś
i z łodyg srebrnych zdejmowałaś świece
i unosiłeś mnie w ciemnościach nocy
na łąki kwietne pastwiska miłości
w odorzący płomień namiętności
gdzie sen nas tulił jak sen narkotyczny
a tekturowe gwiazdy zataczały
krąg orbitalny po nieskończoności

Część tekstu od słów ...a może życie do przenika ciemność jest nagrane na magnetofon – aktorka prowadzi dialog z magnetofonem.

A może życie to ulica
którą codziennie chodzi kobieta z koszykiem
a może
życie to powrót wieszającego się mężczyzny
a może
życie to dziecko powracające ze szkoły
a może
życie to zapalenie papierosa przez kochanków
w chwili nudy
albo nieuważne spojrzenie przechodnia
który unosząc kapelusz
mówi komuś zdawkowe dzień dobry
a może
życie to ułamek chwili
gdy moje spojrzenie
zamierając w twoich źrenicach
przenika ciemność...

Aktorka przechodzi przed „Okno” siada tyłem do widowni
jest taki zaułek
w którym chłopcy zakochani we mnie
wciąż mają jeszcze
kędzierzawe czupryny szczuple barki i chude nogi
i myślą, że dziewczynkę
która śmiała się tak szczerze
pewnej nocy porwał wiatr
Jest taki zaułek który serce ukradło
z kraju lat dziecinnych
i znów powitam słońce
potok który płynął we mnie
i obłoki powolne jak myśli
i znów powitam
białe topole
które w porze suszy rosły ze mną tak boleśnie
i znów powitam gromady wron
które niosły mi w darze nocny zapach pól
i znów powitam
matkę
która żyła w lustrze wizerunkiem mojej starości
i znów powitam ziemię
która w pragnieniu powtórzenia mnie
gromadzi w swym wnętrzu gorące ziarna płowe

Aktorka mówi coraz ciszej – zasypiając.

Idę idę idę idę
z włosami przesyconymi zapachem podziemnym
oczami nawykłymi do ciemności
Idę idę idę idę
aby stać się
pełnym miłości progiem
i znów powitać
tych co kochają
i znów powitać
dziewczynę
co stoi tam jeszcze
w oknie pełnym miłości

koniec.

opracowała Maria Halina BALINSKA

SCENARIUSZ ZABAWY PLASTYCZNO-TEATRALNEJ DLA DZIECI – NA MOTYWACH WIERSZA „LOKOMOTYWA” JULIANA TUWIMA

Cele imprezy:

- 1) wychowawczy – umiejętność właściwego zachowania się dzieci w czasie podróży. W sytuacji zabawowej dzieci poznają znaczenie znaków informacyjnych i czynności związanych z podróżą,
- 2) kształcący – doskonalenie nawyków kulturalnej zabawy i form współpracy w zespole poprzez zdarzenia plastyczne i teatralne,
- 3) poznawczy – interpretacja plastyczna i teatralna tekstu literackiego, wskazanie różnych możliwości ilustrowania poezji obrazem i gestem.

Adresat:

dzieci ze szkół podstawowych w wieku 6-8 lat

Miejsce:

sala o wymiarach 10×6 m²

Czas trwania:

60-90 min.

Prace przygotowawcze, rekwizyty:

11 dużych worków papierowych wypchanych suchymi liśćmi lub gazetami, kolorowe kartki z wypisanymi wyrazami, znak graficzny „przechowalnia bagażu”, „informacja” – znak graficzny, „poczekalnia” – znak graficzny, napisy Ulan Majorat, Ulan Mały, „Bar Mniam”, 50 m taśmy, pędzle, tusz, miska z wodą, mydło, ręcznik, czapka zawiadowcy stacji, latarka, lizak, torba konduktorska, 2 zegary, napis kasa

Koszt imprezy:

3000 zł (worki papierowe, farby, ciastka)

Organizator i współorganizatorzy:

dwa instruktory: plastyk i instr. ds teatru

Przebieg imprezy:

- 1) dzieci wbiegają na salę gęsiego (jedno dziecko trzyma ręce na ramionach drugiego). Na dane hasło siadają w kole w „poczekalni dworcowej” i słuchają nagrania wiersza J. Tuwima „Lokomotywa”
- 2) na sali rozwieszono są następujące napisy „Przechowalnia bagażu” (znak graficzny) nazwy stacji Ulan, Ulan Majorat, informacja (znak graficzny), leży węgiel ze stropianu
- 3) dzieci układają na sali tory z tasiemek, po tych torach pojedzie pociąg
- 4) uczestnicy imprezy zostają zaproszeni przez instruktora do zabawy plastycznej – otrzymują 11 dużych papierowych worków wypchanych lekkim materiałem np. suchymi liśćmi, worki pomalowane są na biało na workach narysowane kontury wagonów, dzieci dostają pędzle i czarny tusz – rysują na workach zawartość wagonów: atletów, banany, krowy itp.
- 5) po wyschnięciu worki zostają przeniesione pod znak „przechowalnia bagażu” instruktor inscenizuje z dziećmi sytuację – odbiór bagażu, druga osoba wydaje bagaż
- 6) dzieci udają się do kasy gdzie kupują bilety u instruktora-kasjera, za bilet płaci się odpowiedzią na pytanie „co oznacza dane słowo”, słowa wypisane są na kartonikach czytane wspak dadzą prawidłowy wyraz. Kartoniki bilety są przyczepiane do poszczególnych wagonów.

wyrazy:

1) kazil-lizak, 2) yrot-tory

3) nogaw-wagon, 4) rab-bar

5) gącip-pociąg, 6) rot-tor

7) norep-peron, 8) telib-bilet

9) laizdezrp-przedział, 10) ajcats-stacja

11) cezrowd-dworzec, 12) akratal-latarka

- 13) reżasap-pasażer, 14) zóworap-parowóz
 15) żagab-bagaż, 16) acwodaiwaz-zawiadowca
 17) awytomokol-lokomotywa, 18) miwut nailuj-Julian Tuwim

- 7) dzieci ustawiają się gęsiego trzymając worki wagony w rękach. Pozostałe dzieci „wsiadają do wagonów”.
- 8) instruktor w czapce zawiadowcy odczytuje tekst lokomotywy i zapowiada: „uwaga, uwaga dodatkowy zaczarowany pociąg z Ulana z przesiadką w Ulanie Małym do stacji końcowej „MNIAM” odjedzie punktualnie o godz. 12,00. Proszę wsiadać drzwi zamykać. Życzymy podróżnym wesołej zabawy. Po drodze dziecko-palacz sypie węgiel do lokomotywy.
- 9) na dworcu w Ulanie Małym dzieci ustawiają się w kolejce do informacji gdzie pytają o połączenie z „Barem Mniam”
- 10) pociąg dojeżdża do stacji „Bar Mniam” po drodze wchodzi „konduktor” i sprawdza bilety. Jedno dziecko zgubiło bilet – sytuacja teatralna wokół tego zdarzenia
- 11) pociąg dojeżdża do „Baru Mniam”, gdzie znajduje się umywalnia, dzieci myją ręce. Jedna z osób zgłasza konduktorowi, że zostawiła багаż w pociągu. Sytuacja wokół tego wydarzenia.
- 12) ogłaszamy błyskawiczny konkurs dla dzieci ze znajomości słów związanych z koleją i podróżą – poznane słowa dzieci wypisują na karteczkach.
- 13) przy „Barze Mniam” wszyscy otrzymują pączki.

likwidacja imprezy:

dzietci myją pędzle, sprzątają rekwizyty i wychodzą z sali na słowach wiersza „Lokomotywa”.

Sławomir Żyłka

„ZIEMNIAK ODSMAŻANY” – PROPOZYCJE DO SCENARIUSZA IMPREZY NA KRYZYS (KTÓRA PRAWIE NIC NIE KOSZTUJE) – CZYLI GRY I ZABAWY NA OGNISKO „Z ZIEMNIAKIEM W ROLI GŁÓWNEJ”

Ognisko najlepiej zacząć historią uprawy tej rośliny w Polsce. Do udziału w zabawach przy ognisku upoważnia ziemniak-cudak (ziemniaki o najśmieszniejszych kształtach, wezmą udział w konkursie, a ich właściciele zostaną nagrodzeni). W czasie kiedy dzieci zbierają chrust na ognisko i układają stos, należy przekazać im przepisy przeciwpożarowe. Kiedy ognisko płonie – można nieopodal zacząć gry i zabawy. Mogą to być: biegi z ziemniakiem na łyżce, skoki z ziemniakiem położonym w stawie kolanowym, przysiady z ziemniakami ułożonymi na ramionach, rzuty do celu, rzuty do butelki po mleku, małymi ziemniakami. Obieranie ziemniaków też może być zabawą, np. kto obierając ziemniak uzyska najdłuższą obierkę ten wygrywa. Obrane ziemniaki można wykorzystać do zabawy plastycznej – w odległości 1,5 do 2 m od miejsca rzutu układamy duży karton, uczestnicy zabawy malują obrane ziemniaki farbą plakatową i celują nimi w płaszczyznę kartonu. Powstanie w ten sposób abstrakcyjny obraz. Można też przeprowadzić konkurs na stempel ziemniaczany – stemple odbite na kartonie i podpisane przez autorów umieszczamy w kronice. Ziemniaki o ciekawych kształtach można

wykorzystać do zabawy w teatr kukielkowy. Wystarczy je nadziać na patyki, pomalować farbą, powtykać liście, trawy lub cienkie patyczki i już kukielki gotowe. Teraz warto zajrzeć do ogniska, jeżeli jest wystarczająca ilość żaru zasypujemy nim ziemniaki. Jeżeli mamy folię aluminiową to robimy ziemniaki nadziewane: cebulka, resztki kielbaski, grzyby – tym nadziewamy ziemniaki (wydrążone uprzednio) i przykrywamy ziemniaczaną czapką. Ziemniaki zawijamy w folię, wkładamy do ogniska, zasypujemy żarem. A teraz zabawa w teatr. Do inscenizacji wybieramy wszystkie znane bajki, aby dzieci mogły improwizować role poszczególnych bohaterów (kukielkami z ziemniaka). Atrakcyjność teatru będzie większa, kiedy kukielki oświetlimy latarkami. Kiedy ziemniaki są już upieczone, dzielimy je wśród uczestników. Po ziemniaczanej uczcie odczytujemy wyniki konkursów i wręczamy skromne upominki, gasimy ognisko i ze śpiewem wracamy do domu.

– Ziemniaka odsmażył –

Sławomir Marek Żyłka

Życzymy wesołej zabawy.



PLASTYCZNE PREZENTACJE

Po raz kolejny spotkali się plastycy amatorzy, głównie malarze, na Wojewódzkim Przeglądzie Amatorskiej Twórczości Plastycznej zorganizowanym przez Wojewódzki Dom Kultury przy współpracy z Zarządkiem Wojewódzkim ZSMP. Obrazy, rzeźby, płaskorzeźby, tkaniny nadesłało 22 twórców nie traktujących swojego zajęcia jak profesję. W Klubie Kultury „Piast” przez dwa tygodnie mogliśmy oglądać prace uznane przez ich autorów za najlepsze. Organizatorzy tym razem postanowili nie „wkładać kija w mrowisko” tzn. „środowisko” i nie przyznali żadnych nagród. Przegląd był więc tylko przeglądem. Nie było emocji i pretensji, była natomiast wymiana poglądów, konfrontacja koncepcji, rozmowy o sztuce.

„Artyści dnia siódmego” po otwarciu wystawy 29.04.1989 r. powrócili do domów bogatsi o nowe znajomości, nowe przemyślenia i ...albumy o sztuce ufundowane przez organizatorów.

M.S.

NA SWOJSKĄ NUTĘ

11 czerwca br w amfiteatrze Wojewódzkiego Domu Kultury 40 wykonawców – zespoły śpiewacze, kapele ludowe, instrumentalści i śpiewacy ludowi – spotkało się na XIV Wojewódzkim Przeglądzie Kapel i Śpiewaków Ludowych.

Jury pod przewodnictwem dra Jana Adamowskiego nagrody i wyróżnienia przyznało osiemnastu wykonawcom.

W kategorii kapel nagrody przyznano:

- dwie drugie (po 20 000 zł) kapeli z Lisiowólki i Rossosza,
- trzecią w wysokości 17 000 zł kapeli z Żakowoli.

W kategorii zespołów śpiewaczych:

dwie pierwsze nagrody (po 20 000 zł) otrzymały zespoły z Jakówek i Worgul, zaś dwie drugie (po 15 000 zł) zespoły z Przychód i Matiaszówki, a trzy trzecie, po 10 000 zł, zespoły z Żulinek, Dołhobród i Drelowa – zespół „Drelów II”. Nagrodę w wysokości 8000 zł otrzymał zespół „Drelów I”.

W kategorii solistów instrumentalistów nagrody otrzymali:

- skrzypek Zdzisław Marczuk z Zakalinek – 15 000 zł,
- harmonista Bazyle Nieścioruk z Matiaszówki, skrzypek Ryszard Kotowski z Olszyna i harmonista Michał Sacewicz z Łomaz – nagrody po 10 000 zł,
- harmonista Mikołaj Romaniuk z Dobrynia Dużego i skrzypek Kazimierz Musiejuk z Lisiowólki – po 8000 zł,
- wyróżnienie w wys. 5000 zł otrzymał skrzypek z Żelizny p. Józef Marczuk.

W kategorii solistów śpiewaków:

najwyższe nagrody (po 10 000 zł) otrzymały p.p. Nina Nikolajuk z Dobrynia Dużego i Feliksa Wierzbicka z Kąkolewnicy Północnej. Dwie drugie – po 3000 zł – przyznano Janinie Kamińskiej z Matiaszówki i Zdzisławowi Marczukowi z Zakalinek. Dwie trzecie otrzymały p.p. Aniela Kisiel z Pogorzelca i Aleksandra Daniluk z Dokudowa.

Na Ogólnopolski Przegląd Kapel i Śpiewaków Ludowych do Kazimierza wytypowano zespół śpiewaczy z Worgul, śpiewaczki Feliksę Wierzbicką i Janinę Kamińską, instrumentalistów Bazylego Nieścioruka i Ryszarda Kotowskiego oraz kapelę ludową z Lisiowólki. W konkursie „Duży mały” województwo nasze reprezentować będą – Feliksa Wierzbicka i Mariola Komoń z Kąkolewnicy Północnej.

Na Ogólnopolski Przegląd Twórczości Artystycznej Wsi do Kielc wytypowano zespół śpiewaczy z Jakówek.

W Kazimierzu nasi reprezentanci grali i śpiewali tak dobrze, że prawie wszyscy przywieźli nagrody i wyróżnienia. I tak: zespół śpiewaczy z Worgul otrzymał pierwszą nagrodę, kapela z Lisiowólki trzecią, Ryszard Kotowski i Feliksa Wierzbicka drugą a Janina Kamińska wyróżnienie. Feliksa Wierzbicka i uczennica Mariola Komoń, startująca w konkursie „Duży Mały” również otrzymały wyróżnienie. Brawo! Gratulujemy.

(db)

W ostatnich miesiącach Klub Literacki „Maksyma” podejmował działania mające na celu upowszechnianie literatury. Razem z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną zorganizował I Wojewódzki Turniej Krasomówczy pt. „Polska i Polacy w II wojnie światowej”. Uczestniczyło w nim około trzydziestu uczniów szkół średnich z terenu województwa. Najlepszymi okazali się: Grzegorz Mankiewicz (Międzyrzec Podlaski), Agnieszka Mironiuk z Białej Podlaskiej, Dorota Steckiewicz z Wisznic. Te same instytucje zorganizowały również, w dniach 16-17 czerwca, Dni Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Uczestniczyli w nich członkowie Redakcji Młodego Ruchu Artystycznego i Debiutów – Zbigniew Jerzyna, Jerzy Koperski i Jan Stępień. Spotkali się oni z bibliotekarzami z województwa białkopodlaskiego, poprowadzili warsztaty literackie i dyskusję o problemach młodej literatury z członkami „Maksymy”.

30 czerwca br. Podlaskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne i Klub Literacki „Maksyma”, w ramach „Wieczorów regionalnych”, zorganizowały spotkanie, w białskiej kawiarni „Maleńka”, pt. „Literackie Podlasie”. Gośćmi wieczoru byli członkowie „Maksymy”: Janina Remlein, Zinaida Kara, Halina Walczak i Wiesław Gromadzki. Wcześniej w podobnym spotkaniu wziął udział Ryszard Kornacki. Natomiast 2 września członkowie „Maksymy” spotkali się z przedstawicielami klubów literackich z Chełma i Zamościa.

(wg)

PODLASKIE REGIONALIA

Powiększa się biblioteczka podlaskich publikacji regionalnych. Klub Literacki „Maksyma” i Wojewódzki Dom Kultury w Białej Podlaskiej są wydawcami serii pn. Podlaskie Arkusze Literackie. Ukazał się już pierwszy zbiorek wierszy Ryszarda Chojeckiego pt. „Aż słowa”. W przygotowaniu są następne pozycje – wiersze Heleny Romaszewskiej i Ireneusza Wagnera, prozy Zinaidy Kary i Ewy Koziary, aforyzmy Wiesława Gromadzkiego i fraszki Juliana Żmudzińskiego. Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia w Białej Podlaskiej przygotowała broszurę o czterdziestolecu szkolnictwa muzycznego w tym mieście, a Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna bibliografię województwa białkopodlaskiego. Natomiast Podlaskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne oferuje regionalistom „Tańce podlaskie” Emmy Cieślińskiej i Heleny Januszczyk oraz Grzegorza Michałowskiego „Głos Społeczny 1933-39”.

(wg)

CZTERDZIEŚCI LAT SZKOŁY MUZYCZNEJ

W tym roku mija czterdzieści lat od momentu powstania w Białej Podlaskiej pierwszej szkoły muzycznej. Z tej okazji w czerwcu odbył się cykl koncertów w wykonaniu nauczycieli, byłych i aktualnych uczniów obecnej Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia. O dziejach szkolnictwa muzycznego w Białej Podlaskiej napiszemy szerzej w następnym numerze Kwartalnika. A była to historia trudna. Przez wiele lat chodziło głównie o przetrwanie zorganizowanej formy nauczania muzyki. Często trzeba było uczyć kątem w szkołach powszechnych, a nawet w domach nauczycieli. Ambicji ludzi związanych z tą placówką zawdzięczamy, że szkoła przekształcona w 1951 roku w ognisko muzyczne odzyskała po latach swoją pierwotną rangę.

(wg)

NA WESOŁO I POWAŻNIE

Od kilku lat obserwuję działalność Klubu Seniora „Wrzos” z Klubu Kultury „PIAST” w Białej Podlaskiej.

Mija już dwunasty rok działalności „Wrzosa”. Początkowo opiekowała się nim PSS „Spolem”, a jego pierwszą przewodniczącą była **Zdzisława Pierśńska**. Pierwsze spotkanie odbyło się na wesoło. Był to bal, który jeszcze dziś jest wspominany przez najstarszych członków klubu. Później imprez było bardzo dużo. Można powiedzieć, że „weszły w krew” seniorom z „Wrzosa”. Dobrze zorganizowane zabawy należą do tradycyjnych form działania klubu. Odbywają się nie tylko w karnawale, również na powitanie wiosny, lata, jesieni. Z imprez rozrywkowo-rekreacyjnych należy wymienić też kuligi, wycieczki (Łańcut, Zamość, Bieszczady, Puławy, Kozłówka itp.) i grzybobranie.

Jednak działalność „Wrzosa” to nie tylko, a może nie przede wszystkim zabawa. Jak poinformowała mnie obecna szefowa klubu **Helena Wadowska** w klubie można rozwijać zainteresowania. Aktualnie funkcjonuje teatrzyk „**To i owo**”, którego występy mogli obejrzeć nie tylko mieszkańcy Białej Podlaskiej, ale również i takich miejscowości w województwie jak: Huszcza, Sitnik, Terespol, Tucza. Zespół ten gościł również w Puławach u tamtejszych seniorów. Teatrzyk przygotował już kilka programów o charakterze kabaretowym i teatralnym. Spore uznanie wzbudziły jego jasełka. Jest prowadzony przez instruktorkę klubu „PIAST” **Urszulę Pietruczuk**. Ostatnio otrzymał wyróżnienie za program prezentowany podczas Ogólnopolskich Spotkań Amatorskiego Ruchu Seniorów. Część członków klubu należy do zespołu śpiewaczego „**Helenki**”, który rozwija swoje umiejętności pod fachowym okiem **Krystyny Tadko -Mikołajczyk**.

Duże znaczenie we „Wrzosiu” przywiązuje się do spotkań pokoleń, imprez organizowanych w Domu Opieki Społecznej w Kozuli, a także do pracy na rzecz dzieci. Już od kilku lat organizowane są imprezy dla wychowanków Domu Dziecka w Międzyrzeczu Podlaskim.

Do codziennych form działalności „Wrzosa” należą prelekcje na tematy medyczne, regionalne, historyczne, a także wieczornice i inne imprezy okolicznościowe z okazji rocznic i świąt, których sposób przeprowadzania odbiega od przyjętych w tym względzie schematów.

Klub Seniora „Wrzos” współpracuje z wieloma organizacjami, a przede wszystkim: Zarządem Ligi Kobiet Polskich, Związkiem Emerytów i Rencistów, Towarzystwem Przyjaciół Dzieci, szkołą muzyczną w Białej Podlaskiej.

Lista najaktywniejszych członków „Wrzosa” jest długa. Dlatego ich nie wymieniam, aby nie pominąć nikogo. Za to życzę dalszych udanych posłów w działalności i jeszcze większej aktywności.

W.G.

Helena Romaszewska

MOTYL

rozchylił się miękko
kwiat
rozluźniły się śliskie skraje
wilgotnych pulsowań
tętno otwartego nieba
owija wargami
słodycz wrasta
i przestaje być ważne
czy spija tylko
nektar bogów
na jedną noc
czy pokarmem rosiczki
zapragnie pozostać

* * *

w kołnierze wiatrów wtuleni
posłuszni gwizdkom pociągów
pośpiesznym słowem
nie dotarli do ołtarzy
ni domów
pocałunkom kradzionym wierni
na rozstajnych drogach
w kapliczkach walizek zostali

(Wiersze z arkusza literackiego pt. „Smak żurawiny” przygotowywanego do wydania przez Klub Literacki „Maksyma” i Wojewódzki Dom Kultury w Białej Podlaskiej).

Sławomir Żyłka

* * *

Technologia miłości jest coraz prostsza
cena zdradzieckiego pocałunku
z trzydziestu srebrników
obniżyła się do trzydziestu złotych
Judasze nie składają zapłaty
w świątyniach miłości
i nie myślą o możliwości powieszenia się
pijąc zapomnienie bezpośrednio z butelki

* * *

...masz ciało pulsujące jak gwiazda
jesteś rozkosznie zastawionym stołem

.....

...w połowie uczyt wdarł się świt
przestraszył nas dzwonem kościelnym
i ...zaczęliśmy pośpiesznie obrastać
w skóry wstydu
...i usiedliśmy przy bezludnym stole
i tak nam było do siebie daleko
jakby nam światło przywróciło

...WZROK

(Wiersze z arkusza pt. „Moje ugory” wydane przez Wojewódzki Dom Kultury w Białej Podlaskiej).

WYDAWCA:

Wojewódzki Dom Kultury w Białej Podlaskiej

REDAGUJĄ:

Danuta Bołtowicz – sekretarz redakcji

Wiesław Gromadzki – redaktor naczelny

Roman Pieńkowski – opracowanie graficzne okładki

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:

Antoni Jodłowski, Janusz Maraśkiewicz, Grzegorz Michałowski,

Alicja Mironiuk, Aranuta Ada Radzikowska,

Mieczysław Skalimowski.

ADRES REDAKCJI:

WDK 21-500 Biała Podlaska, ul. Warszawska 12, tel. 332-48

DRUK:

Drukarnia Wojewódzkiego Domu Kultury Biała Podlaska

zam. 140-89 500 + 50 egz. 0-9

